ROK II. Nr. 16 (65) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem 20 kwietnia 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



WESOŁEGO ALLELUJA! *(fot. Fox.)*

WIKTOR PRZECŁAWSKI.



(Dalszy ciąg.)

2.

W nocy z 11 na 12 marca (st. stylu) 1801 roku rozegrała się znana tragedja, zakończona śmiercią cara Pawła. Na tron wstąpił Aleksander I, i od tej chwili zaczyna się nowa epoka w życiu w. ks. Konstantego. Stosunki, jakie w tych pierwszych latach łączyły braci, były ponoć zupełnie poprawne, i spokojny, miękki, choć nieszczery car Aleksander chętnie i często ustępował bratu, którego zuchwały, twardy i porywczy charakter — teraz, po śmierci ojca — nie miał już żadnego hamulca. W. ks. Konstanty żyje teraz, jak chce. Ćwiczy wojsko, otacza się chmarą niezbyt godnych ludzi, hula i rozbija — a wszystko czyni tak głośno i tak zuchwale, że nawet hrabia Semen Romanowicz pisze o tych czasach: „car powinien kontrolować życie swej rodziny, gdyż, jeśli ks. Konstanty nadal otaczać się będzie podłemi łajdakami, powstać mogą w Rosji dwie partje: jedna ludzi dobrych, a druga niemoralnych. Ci drudzy zaś, zazwyczaj czynniejsi od pierwszych obalić mogą nietylko cara, ale i zniszczyć całe państwo".

I sprawy musiały oczywiście przedstawiać się groźnie, skoro w tymże czasie pisze o tem drugi dygnitarz, hrabia Semen Woroncow: „Konstanty otrzymał inspekcję, to jest został dowódcą całej południowiej armji, stanowiącej 2/3 całej siły zbrojnej państwa, chyba tylko dlatego, aby w razie potrzeby mógł przeciwstawić się bratu. Oni więc rządzić chcą wolą starszego brata, strasząc go możliwym buntem młodszego. Sądzę przeto, że państwo jest w niebezpieczeństwie".

Zdaje się jednak, że były to tylko intrygi, i że Konstanty nigdy nie dążył do obalenia brata.

Snop światła na te sprawy, oraz na inne „sprawki" w. ks. Konstantego rzuca „ogłoszenie o śmierci pani Aranżo", wydrukowane na rozkaz cara w marcu 1802 roku. „Ogłoszenie" stara się obalić „plotki", które głosiły wyraźnie ,że pani ta zamordowaną została przez „wysokich wojskowych" lecz właśnie treścią swą zdaje się plotki te potwierdzać.

Bezkarne i rozpustne życie Konstantego przerwane zostało dopiero w r. 1805, kiedy wybuchła wojna między Francją i Rosją. W. ks. objął dowództwo gwardji. Lecz teraz nie pomogły mu żadne „przywileje". Straszliwa klęska pod Austerlitz zniszczyła żywotną siłę rosyjskiej armji. W. ks. dzielny w bitwie, nie wykazał jednak żadnych talentów wodza.

Mimo to i w następnej kampanji dowodzi nadal gwardją. Niesłychanie ciężkie warunki tej wojny (1806 — 1807) ostatecznie obrzydziły w. ks. wojnę. Jeszcze przed bitwą pod Friedlandem udaje się do Tylży, i tu gorąco namawia cara Aleksandra do rozpoczęcia pertraktacyj z Napoleonem. Pokój, jak wiadomo, został zawarty po słynnej „rozmowie na Niemnie", i zadowolony Konstanty, otrzymawszy od Napoleona wstęgę honorową Legji, natychmiast wraca do Petersburga.

Mimo ,że odtąd wojny poprostu nie znosi, nie przestaje zajmować się wojskiem i rychło staje się tego wojska grozą i postrachem. Aczkolwiek nie ma jeszcze lat trzydziestu, straszliwy jego charakter nietylko dojrzewa najzupełniej, lecz zaczyna się już wyrażać, a niektóre jego cechy dochodzą granic nienormalności, a nawet obłędu. Podlega coraz częściej napadom wściekłego gniewu i wtedy nie liczy się z nikim i z niczem. Za jakiś najczęściej minimalny błąd dowódcy, płaci cały pułk, — cudzy honor dla w. ks. nie istnieje — uznaje on tylko jedno: bezgraniczną, niewolniczą pokorę.

Mijają lata. Nadszedł rok 1812, rok wielkiej wyprawy Napoleona i wielkiego zwycięstwa Rosji. W. ks. dowodzi 5-tym korpusem, lecz z wojny jest oczywiście, niezadowolony i do ostatniej chwili próbuje nakłonić cara do pokojowego załatwienia konfliktów. Bierze potem udział w działaniach wojennych, jest zwolennikiem ataku i potępia odwrót na radzie wojennej, odbytej przed bitwą pod Smoleńskiem. Ale w całej tej kampanji więcej przynosi szkody i zamieszania, aniżeli pożytku. To też wszyscy i zawsze pragną go się pozbyć: naczelny wódz z armji, bo mu buntował ludzi, — Rostopczyn z Moskwy, bo w. ks. formując nowe pułki postępował poprostu jak barbarzyńki tyran, porywając ludzi i konie skąd mu się podobało, — i wreszcie car od siebie, bo mu swemi radami dokuczał.

W 1813 r. w. ks. jest znowu dowódcą gwardji, i jako taki bierze udział w dalszych pochodach wojennych aż do zajęcia Paryża i abdykacji Napoleona. Z temi wiadomościami wraca do Petersburga, jest tu uroczyście przyjmowany, a następnie udaje się na kongres do Wiednia.

Powstało Królestwo Kongresowe. Zaczęto tworzyć „nowe" polskie wojsko. Naczelnym wodzem teg wojska został w. ks. Konstanty.

3.

Wojsko to nazywało się teraz królewsko - polskiem i w obecności swego naczelnego wodza złożyło uroczystą przysięgę na wierność nowemu



Portret Wielkiego Księcia Konstantego, z okresu powstania listopadowego (według niepublikowanej ryciny).

królowi polskiemu. Odbywała się ta uroczystość w pobliżu Woli, z wielką pompą, lecz bez entuzjazmu. Bataljony (z których każdy oddzielnie składał przysięgę) liczyły w swoich szeregach zbyt wielu wiarusów napoleońskich, zakochanych w zesłanym imperatorze i wielbiących otwarcie dumny cień ks. Poniatowskiego. Kimże przeto był dla nich wielki książę rosyjski, twardy barbarzyńca w błyszczącym mundurze, który umiał zauważyć brak jednego guzika wśród masy całego pułku, lecz nie umiał poznać prawdy żołnierskich oczu?! Mógł być i był jedynie tym, którym był oczywiście: narzuconą władzą, widomym symbolem nowej polskiej niewoli. „Król" Aleksander I popełnił swój pierwszy, bardzo ciężki błąd. Dał „swej" Polsce wodza, który budził grozę, strach i śmiech. Narzucił go tej armji, która słuchała rozkazów Napoleona, Dąbrowskiego, ks. Józefa! I tą, zaiste szaloną nominacją zapalił pierwsze iskry buntu i tragedji, mającej się rozegrać za lat piętnaście.

Na razie w. ks. Konstanty nie wtrącał się do spraw cywilnych nowego Królestwa. Pochłonęła go zupełnie organizacja armji. Armja ta składać się miała z polskich wojsk właściwych i z tak nazwanego korpusu litewskiego, składającego się przeważnie z Rosjan. Prace organizacyjne trwały bez przerwy do 1823 roku. W tym roku dopiero odbyła się wielka parada i olbrzymi przegląd wojsk, zebranych pod Brześciem nad Bugiem, a przeglądu dokonał osobiście „król" Aleksander I-szy. Odbyło się to wszystko wspaniale i udało się znakomicie. Car nie szczędził bratu pochwał i uznania, i trzeba sprawiedliwie przyznać, że zasługi w. ks. Konstantego są rzeczywiście duże.

Wojsko polskie było płatne znacznie lepiej, niż ówczesne wojsko rosyjskie. Zaopatrzenie było znakomite. Arsenały i składy były pełne. Twierdze odnowiono, a Zamość znacznie rozszerzono i ulepszono. Historyk rosyjski (E. P. Karnowicz) z żalem opowiada, że Polacy umieli zawsze przekonać w. ks. Konstantego o konieczności zbrojeń i fortyfikowania kraju, i że dopiero car Mikołaj zapędy te powstrzymał.

4.

W. ks. Konstanty rychło jednak przestał zadawalniać się rolą naczelnego wodza. Powoli zaczął się wtrącać do wszystkiego, opanował też wszystko, i nic nie działo się bez jego woli. Znowu występuje na scenę ów „przywilej", dzięki któremu władze królestwa z namiestnikiem Zajączkiem na czele, muszą pokornie spełniać rozkazy w. ks., który oficjalnie był tylko naczelnym wodzem, a faktycznie wice-królem, jeśli nie wice-carem nieszczęśliwej Polski. Jego potworny cień o wybitnie mongolskich zarysach zaciążył nad całym krajem, a przedewszystkiem nad stołeczną Warszawą. Stolica rozwijała się świetnie i w r. 1826 miała już 126.445 mieszkańców, podczas gdy w r. 1815 nie było ich nawet 80,000. Lecz wspaniały rozwój, połączony z bardzo silnem życiem umysłowem (stolica miała w tym czasie 38 perjodycznych, literackich i politycznych czasopism), budził od nowa oplską energję i dumę, która nie mogła cierpliwie znosić wybryków naczelnego wodza. A nieszczęsne te i zgoła barbarzyńskie wybryki dotyczyły przeważnie wojska, które było dumą nietylko w. ks., ale i całego kraju. Przecież było to pierwsze wojsko Europy, podziwiane zgodnie przez wszystkich, odwiedzane przez obcych książąt, ministrów i generałów, zachwycające swoją postawą, dyscypliną i niezrównaną brawurą. W. ks. wojsko to po swojemu kochał. Lecz dzika jego natura, żadnych nieznająca hamulców, i życiem duchowem nigdy nie pogłębiana ani uszlachetniana, stale niweczyła wszelkie jego dobre skłonności, i w wybuchach, dochodzących do szału, ziała pianą zła i nienawiści. Mongolska złośliwość jego mózgu wymyślała zawsze takie kary, które obrażały cześć i honor nieszczęsnych oficerów, którzy w większości wypadków byli zupełnie niewinni. Jego ulubione „ja wam pokażę konstytucję!" z dodatkiem najbardziej soczystych klątw rosyjskich, spowodowało niejedną dymisję i niejedno nieszczęście. Słynne przeglądy na pl. Saskim rzadko kiedy kończyły się spokojnie, a trzeba dodać, że naczelnego wodza nie powstrzymywała obecność nawet najbardziej znakomitych zagranicznych gości. Znaną jest historja parady, odbytej w obecności w. ks. Katarzyny Pawłowny i księcia wirtemberskiego, w czasie której naczelny wódz w napadzie straszliwego gniewu rozkazał oficerom pełnić służbę prostych żołnierzy. Oficerowie ci natychmiast podali się do dymisji, a jako ludzie ubodzy w krótkim czasie popadli w zupełną biedę. Wtedy ich koledzy urządzili głośną dla nich zbiórkę, zaco w. ks. zemścił się odpowiednio. Kiedyindziej znowu — również na Saskim placu — w. ks. polecił aresztować wszystkich oficerów jednego z bataljonów, i aresztowanych hojnie osypał brutalnemi, dotkliwie obrażającemi słowami. Nawet rosyjski historyk, piszący jeszcze za czasów caratu, nazwał klątwy te „samoju rieskoju draniu".

Zdarzały się jednak i gorsze tragedje. Adjutant generała Krasińskiego, Wilczek, publicznie przez w. ks. zelżony, zastrzelił się w przystępie rozpaczy. To też niezadolowenie rosło. Objęło ono także korpus rosyjskich oficerów, który niejednokrotnie niechęć swą jawnie manifestował. Znaną jest historja śniadania, które w. ks. wydał dla oficerów z okazji święta pułkowego. „Oficerowie" — opowiada Werigin — „umówili się, że na tem śniadaniu nie tkną niczego, i że nie będą pili zdrowia i kiedy w. ks. z kielichem w ręku stanął po środku sali, żaden z oficerów doń nie podszedł. W. ks. jednak czekał, zaś hrabia Krasiński próbował tymczasem przełamać milczącą solidarność. Wszystko na nic. Spostrzegłszy to w. ks. zaklął, chwycił swój kapelusz i szybko opuścił salę".

(D. c. n.)

Niemiecki potentat prasowy

Krzywdę wyrządzilibyśmy niewątpliwie „przyjacielowi naszemu" p. Alfredowi Hugenbergowi, gdyby osoba jego została pominięta wśród sylwetek wybitnych osobistości świata, którym oddaliśmy część łamów „7 dni". Boć istotnie, o ileby Fryderyk Nietsche powtórzył, mówiąc o nim enuncjacje swe, którym dał upust w Zaratustrze *) — o tyle „dobrze myślący" Niemiec staje na baczność na wspomnienie o przewódcy nacjonalizmu, Alfredzie Hugenbergu.

Człowiek ten bowiem, to najbardziej sztandarowy ze wszystkich Niemców doby współczesnej; jest on ucieleśnieniem programu, któremu z tradycji hołduje każdy Niemiec — odwiecznego „Drang Nach Osten"; to człowiek, jakich dwóch bodajże niema na całem terytorjum Rzeszy.

Skąd wziął się Hugenberg na arenie publicznej? Był dyktatorem w zakładach Kruppa (dobra szkoła!), później zaś wyssał z całą bezwzględnością, jaka go charakteryzuje w każdym calu nędzę popadających wskutek inflacji w ruinę drobnych rentjerów, zaczerpnął sił z kas państwowych i opanował szereg przedsiębiorstw, związanych z wydawaniem słowa drukowanego, filmem, radjem i t. d.— stał się słowem — dyktatorem wszechpropagandy germanizmu.

Średniego wzrostu, niepozorny — Hugenberg drapuje się w szaty starego gwardzisty, feldfebla pruskiego, — a choć nigdy w szeregach nie służył, przysiącby można, iż urodzony jest pod werbel bębnów i surm wojennych. Czy zdaje sobie sprawę z konieczności pewnego decorum? Dość, że przebywa ustawicznie w otoczeniu wojskowych, sztywnych i zmechanizowanych, bezmózgich automatów, poruszających się według zasad żelaznej dyscypliny.

„Miast mózgu, posiada kasę ogniotrwałą" — powiada o nim jeden z najbliższych jego współpracowników, który wie, że Hugenberg hołduje zasadom Bismarcka, zawartym w tem lapidarnem, lecz szczerem odezwaniu: „Ambasadorowie?... Niczego innego od nich nie wymagam nad dyscyplinę, której powinni się nauczyć od podoficerów"... (telegram tej treści został zredagowany w swoim czasie przez kanclerza pod adresem ambasadora Niemiec w Petersburgu).

Podobnie rozumuje Hugenberg, oświadczając na jednem z zebrań politycznych, iż „nie zniesie w łonie partji żadnej chwiejności, gdyż wszyscy członkowie winni zrezygnować z chęci przeciwstawienia swojego zdania nakazom płynącym z góry".

Dogmatyzm, którego wymaga, ratuje go zresztą w oczach jego zwolenników, gdyż nie widzą sprzeczności, jakiemi doprawdy nie mógłby się chwalić. Nic w nim bowiem niema z ideowego przewódcy — gdyż stanowisko swe zawdzięcza li tylko zdolnościom organizacyjnym, które wyniósł z praktyki wielkich interesów. Podaje się za antyparlamentarzystę, a sam pragnie zasiadać w Reichstagu. Bynajmniej nie jest trybunem, a z trybuny nie schodzi...

Karjera publiczna Hugenberga rozpoczęła się w r. 1909, t. j. od chwili, kiedy zajął naczelne stanowisko w koncernie wydawniczym „Deutsches Verlagswesen". W kilka lat później, w przeddzień niemal wypowiedzenia wojny wyrywa z rąk liberałów, którzy od dłuższego czasu posiadali opcję wielki organ prasowy „Lokal Anzeiger". Wspomagany w następstwie przez Skarb Państwa, zakłada szereg imprez, mających na celu współdziałanie z wydawnictwami propagandowemi o charakterze ultra nacjonalistycznym. W r. 1917 zakłada firmę wydawniczą „Vera", której zadaniem jest okazywanie pomocy w finansowaniu pism codziennych i ułatwienie im w nabywaniu papieru i artykułów drukarskich (firma przestała egzystować w r. 1918).

Podczas rewolucji 1918 r. Hugenberg nie traci głowy i, korzystając z szalonych zysków, jakie sprytnemu człowiekowi przynieść mogą operacje finansowe oparte na dewaluacji, realizuje na ogromną skalę trust prasy nacjonalistycznej.

Organizacja, którą udało mu się wkrótce uruchomić stanowi istotnie wzór, godny naśladowania

Wyobraźmy sobie, że pismo potrzebuje papieru. Oto firma „Mutuum" potrafi pobić wszelkie oferty konkurencyjne i drogą dostaw na dogodnych warunkach zawładnąć interesami swego klijenta. Podobnie działa firma „Wipro", której specjalnością są artykuły drukarskie. Potrzeba kredytów? Oto można je otrzymać w jednym z banków Hugenberga zrzeszonych w koncernie „Deutsches Verlagswesen". Biura ogłoszeń trustu — „Haasenstein", „Vogler" i „Ala" zasilają pisma swemi zleceniami. Agencja telegraficzna „Telegraphen Union" — ostatniemi wiadomościami (obsługuje 57 proc. prasy niemieckiej, nadając jej ton zastosowany do dyrektyw nacjonalistów). Ta sama agencja posiada do dyspozycji klijentów znakomity serwis artykułów, począwszy od wstępnych, a kończąc na kronikach specjalnych, reporterskich. „Allgemeiner Bildendienst" zaopatruje pisma prowincjonalne w dodatki ilustrowane, „Ueberseedienst" funkcjonuje dla wiadomości z Ameryki i t. d.

---

*) *„... czuję ochotę, uważam nawet za obowiązek, powiedzieć Niemcom wszystko, co mają na sumieniu. Wszystkie wielkie zbrodnie kulturalne czterech stuleci mają na sumieniu!... I zawsze z tego samego powodu, z najwewnętrzniejszego tchórzostwa przed rzeczywistością, które jest także tchórzostwem przed prawdą, ze zmienionej w nich w instynkt nieprawdziwości, z „idealizmu".*

CZYTELNIKOM „7 DNI"
składa serdeczne życzenia
WESOŁYCH ŚWIĄT
Redakcja

Mało jest być niemieckim Hearstem prasowym Hugenberg pragnie również rządzić i w eterze. W tym celu zakłada stację nadawczą w Koenigswusterhausen.

W dziedzinie filmu bierze w swoje ręce „Ufę" oraz „Delit", które dokonywują fuzji z „Elmelką". Produkcję Hugenberga wszak i my znamy: to film antypolski „Land unter dem Kreutz", to „Bismarck", obrazy przeznaczone na Śląsk dla podtrzymania ducha germanizmu.

Wreszcie założone w r. 1928 „Schutzverein" ma na celu „ochronę dóbr duchowych Niemiec".

Wszystko się udaje Hugenbergowi, któremu przyznać trzeba bezstronnie olbrzymi talent organizacyjny i zmysł kupiecki. Boć jasną jest rzeczą, że mimo wszystko interesy wydawnicze nie są tak zyskowne, aby mogły się rozrosnąć z tak lawinową szybkością. Tu inne czynniki wchodzą w grę, a przedewszystkiem miły wszystkim Niemcom nacjonalizm, dzięki któremu wiele rzeczy uchodzi, a zobowiązania skreślane są lekką ręką. Oto w ten sposób następuje przedawnienie miljonowych zobowiązań Hugenberga w stosunku do Skarbu. I nikt nie protestuje — boć przecież to wszystko się dzieje *pro publico bono*.

Talent organizacyjny Hugenberga przejawił się i w innym kierunku, strustowania, jeśli można tak powiedzieć, poszczególnych ugrupowań partyjnych, wciągając je do wspólnych szrank nacjonalistycznych. Skrajna prawica idzie ręka w rękę ze sferami robotniczemi, agrarjuszami i ze zrzeszeniami zawodowemi pracowników umysłowych. Stahlhelmowcy z Hitlerowcami — wszystko pod werbel wojenny, zdobywczy, jak hasło najmilsze Niemcom — „Deutschland über alles"...

Najmniejszą oznakę niezadowolenia w karnych swych szeregach Hugenberg tępi z całą bezwzględnością. Oto poseł Lambach, który ośmielił się wypowiedzieć w duchu liberalnym (jakżeby mógł inaczej, stojąc na czele zrzeszenia pracowników handlowych!) zostaje osądzony przez sąd partyjny i usunięty. Podobny los spotyka Belliana i Ullsteina, będących jednymi z najczynniejszych (i najpotężniejszych) sojuszników Hugenberga w dziedzinie wydawniczej.

Ostatnim „wyczynem" Hugenberga jest wreszcie akcja, którą zorganizował przeciw ratyfikacji planu Younga, przyczem nie zawahał się nawet wypowiedzieć walkę przeciw samemu Hindenburgowi.

I jak to często bywa, gdy człowiek zapragnie wszystko posiąść kampanja przeciw planowi Younga przyniosła Hugenbergowi szereg niepowodzeń. Dyktatury już nie zdobędzie. Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Więcej jeszcze, gdyż mowa jest nawet, iż będzie zmuszony ustąpić ze stanowiska przewódcy stronnictwa. Jedynym sukcesem jego było to, iż mimo ostrości konfliktu z marszałkiem Hindenburgiem, został wezwany po drugiej zaledwie, lecz sensacyjnej mowie wygłoszonej w Reichstagu na konferencję do prezydenta.

I to właśnie wskazuje, jak trudno jest łudzić się, gdy mowa o możliwości niepowodzeń akcji wszczętej przez Niemca. Żelazna dyscyplina, przedziwny solidaryzm, łączący wszystkie niemal sfery ludności, stanowią siłę niepokonaną, potężny taran, który mocen jest wszystko burzyć na swej drodze.

Droga zaś wiedzie... nach Osten!

Schemat organizacyjny instytucji podległych Hugenbergowi

PRASA (SUROWIEC, KREDYTY)

Wipro (mat. drukarskie)
Mutuum (trust papieru)
Banki
Papiernie
Deutsches Verlagswesen.

PROPAGANDA NAROD.

stacja odbiorczo-nadawcza radjo
(Koenigswusterhausen)
Kino
(Ufa i Delit)
Schutzbund
(kom. krzew. kultury niem.)

WYDAWNICTWA

Algemeine Bilderdienst
(serwis foto-kliszowy)
Schnelldienst Polityk
(agenc. wiad. rolnicz.)
Deutscher Dienst
(serwis artyk. wstępnych)
Kasenstein Vogler
(biuro ogłoszeń)
Information
(serwis wiad. politycz.)
Ueberseedienst
(serwis wiad. z U. S.)
N. Gesell. Koresp.
(wyd. romans. i feljet.)
Telegraphen Union
(agencja telegraficzna).

STRONNICTWO NARODOWE

Organizacje stronnictwa
Syndykat rolników Chrześcian
Arbeitervelband
(związki rolnicze)
Landbund
(związek agrarjuszów)
Stowarzyszenie pracowników handlowych.

NARODOWY KOMITET REFERENDUM.

Stronnictwo narodowe (prawica)
(Landbund, Agrarjusze)
Stalhelm
(b. kombatanci)
Organizacje rolnicze
Stronnictwo narodowe
Socjaliści
Altdeutsches Verein

BRUNO WINAWER.

Zabawy świąteczne

Dziwnem zrządzeniem losu znalazłem się przed laty w Londynie, właśnie w okresie świątecznym.

Pamiętam taki dzień uroczysty, kiedy wielkie, wielomiljonowe miasto zamyka na klucz wszystkie drzwi, zasłania witryny sklepów, gasi światła w restauracjach, kawiarniach, teatrzykach. Stoją wysokie mury, piętrzą się, jak zastygła lawa, krok przechodnia odbija się tysiącznem echem, turysta ma wrażenie, że wylądował sam na księżycu i zwiedza „krater Kopernika", liczy fałdy i zmarszczki na obliczu martwego globu... Duch z potężnej stolicy uleciał nagle, jak powietrze z pękniętej „kichy" samochodowej. Cisza. Pustka. Nuda.

Błąkałem się długo po placach i zaułkach, zazdrościłem ludziom, którzy mają „ognisko", dom, znajomych, składają wizyty, grają w bridża i wreszcie przyszło mi na myśl, że i oni się nudzą prawdopodobnie o tej porze.

Człowiek współczesny jest ciekawy i zajmujący wtedy, kiedy pracuje. Jest — że tak powiem górnolotnie — poetą w prozie. Tu zdobywa się na pomysły fenomenalne, dowcipne, fantastyczne, prometejskie. Mógłby zaimponować cezarom, olśnić faraonów, zmusić do cmoknięcia językiem króla hebrajskiego, Salomona.

Szlifuje np. wklęsłe zwierciadła wielometrowe z kwarcu, nastawia je na gwiaździste niebo, odkrywa dziwaczne mgławice spiralne, podpatruje Naturę w chwili, kiedy sobie nowe słońca i globy układa z rozprażonej materji.

Widzi śniegi podbiegunowe na Marsie, czerwone plamy na Jowiszu, mierzy łokciem wszechświat, bada chemicznie gwiazdy.

Wymyślił aparacik radjowy i słyszy nieraz wieczorkiem własne słowa, które wracają do niego po 30 sekundach, odbite od planet sąsiednich.

Zbudował ciężką maszynę i potrafi w niej fruwać przez dwa tygodnie — szybciej i wyżej od orłów i sokołów. I to mu nawet dzisiaj nie wystarcza: kleci samolot rakietowy i wybiera się w przestrzeń kosmiczną. Chce obejrzeć księżyc zbliska i rzucić w dal nieobjętą sygnały radjowe — a nuż tam ktoś jest na sasiednich planetach?

Zapada w łodziach podwodnych w straszliwą głąb oceanu, fotografuje ryby fosforyzujące, gwiazdy morskie, ośmiornice straszliwe.

W powietrzu zwyciężył ptaki, po morzach pływa prędzej od rekinów, na lądzie — w samochodach — biega szybciej od strusia i płochliwej gazelli.

Niewidzialnemi palcami elektromagnetycznemi umie sięgać przez lądy i wody i, siedząc w Genui, zapalić lampy w Sydneju (Australja).

Odnalazł światy całe w kropli deszczowej, dostrzegł w niej miljardy drobnoustrojów i niektóre z bakteryj i mikrobów zaprzęga nawet do pracy pożytecznej.

Umie topić platynę, węgiel w płyn zamienia, wytwarza w probówkach takie mrozy, że powietrze zamienia się na kawał lodu...

Ale w niedzielę jest poprostu nudny.

W niedzielę i święto człowiek współczesny siada przy stole i obżera się mięsiwem, jak dzikus z wysp Oceanji. Później zalewa pałę wódką i rozmawia o strojach wiosennych.

— Kazałam z tyłu dorobić pelerynkę i do rękawków dodać wstążeczki — mówiła niedawno pewna pani do kilku innych dam przy sąsiednim stoliku.

Obejrzałem się. Osoba miała co najmniej lat 55, krótką szyję, wydatny biust, i odznaczała się wogóle niezwykle bujnemi, rozlewnemi kształtami. Gdyby jej dorobiono z tyłu nietylko pelerynkę, ale dodano do tego nawet trzy strusie piórka i wyhaftowano złotem i brylantami kwiat lotosu — nicby się w sytuacji nie zmieniło.

Nasze kapelusiki, marynareczki, żakieciki, wstążki, krawaty będą już po kilku latach nieznośne i śmieszne, nasze fotografje będą budziły ogólną wesołość. Wnuk obejrzy dokładnie naszą podobiznę w albumie rodzinnym i pokiwa głową:

— Ależ mieli gust... pomarańczowy!

Po ożywionej dyskusji nad kwestją szerokie czy wąskie (spodnie) długie czy krótkie (suknie i włosy, wysokie czy niskie (obcasy, kołnierzyki), opięte czy luźne, gładkie czy marszczone, miękkie czy twarde (koszule, mankiety) człowiek współczesny przerzuca się na inne tematy.

Mówi o polityce, o sytuacji finansowej. Przyczem ogranicza się do uwag głębokich:

— Nie jest tak źle — jest znacznie gorzej. Z forsą nie jest kiepsko. Tylko bez niej.

Wreszcie wzdycha, powiada: dajmy lepiej pokój. Siada przy zielonym stoliku i tasuje karty.

Bridż jest oddawna chorobą nagminną, chociaż odpowiedniego lasecznika żaden bakterjolog jeszcze nie odkrył.

Młode panny wpadają do „Ziemiańskiej" szczebiocą różowemi usteczkami:

— Słuchajcie! Miałam wczoraj wypadek!... To się zdarza raz na stulecie!

Mam asa i sześć młódek karo, asa króla pik, asa, króla, damę kier, renons w trefle. Licytuję pięć karo i zastaję u przeciwników koronkę w karo. Leżę bez dwóch z kontrą...

Powstały nowe sławy, nowe wielkości. Ludzie pokazują ludziom niewielkiego grubego pana i szepczą z uznaniem:

— Ładny nie jest. Zajmujący też nie. Ale — cudownie gra w bridża. Niedawno zadeklarował wielkiego szlema w bez-atu. Nie byłem przytem, ale wiem od osób wiarogodnych.

Bridż stał się jakąś miarą inteligencji, jakiemś kryterjum genjalności...

Otóż — nasze gry karciane wywodzą się napewno od drewnianych ma-dżongów chińskich. Wszystkie są w gruncie rzeczy do siebie podobne, wymagają pewnej rutyny, skupienia uwagi i nie świadczą o niczem.

Wielki matematyk, Poincaré, już szachy nazywał hazardem, bo najzdolniejszy szachista nie może obliczyć wszystkich możliwości, przewiduje trzy — cztery ruchy następne, i robi właściwie posunięcie na chybił - trafił, a nuż się uda!

Bridż zatem jest zamaskowaną grą hazardową. Celują w niej przeważnie adwokaci i to jedno już dowodzi, że kombinacje karciane, którym poświęcamy nasze godziny świąteczne i przedświąteczne, wieczorne, nocne i poobiednie nie należą do najciekawszych wzlotów myśli ludzkiej, nie zdobędą nam uznania potomnych.

...W wolnych chwilach zastanawiam się nad zagadnieniem, czemu człowiek dzisiejszy — dzielny i zajmujący przy pracy — tak strasznie „odpada" i gaśnie w dzień świąteczny?

I jak sobie przyszłość z tą trudną kwestją poradzi? Co będzie robił nasz — daj Boże, inteligentny — prawnuk w niedzielę i na Wielkanoc?

Dochodzę do wniosku, że jednym z mądrzejszych ludzi w historji był znany powszechnie Harun al Raszyd, kalif bagdacki. Jego zajęcie i stan cywilny (król!) pozostawiało mu bardzo wiele wolnego czasu. Korzystał z tego w ten sposób, że się przebierał, chodził po praktach, drogach, miastach i brał udział w zajęciach innych ludzi.

Bardzo rozumny pomysł. Co pewien czas powinna się odbywać na świecie — jak w dawnym kontredansie — „zmiana miejsc". Niechby raz finansista spojrzał przez teleskop, niechby właściciel restauracji zajrzał do mikroskopu, dramaturg do elektrowni, adwokat do szpitala, królowie mody do kopalni węgla, bridżysta do „wieży Einsteina" w Poczdamie, lew salonowy do klatki z małpami w pracowni antropologicznej...

Przebierzmy się!

Kto wie, czy to nie byłby najlepszy sposób spędzenia świąt.

JADWIGA KIEWNARSKA.

Kłopot wuja Benedykta

Odkąd, z powodów politycznych, wuj mój, Benedykt Dyrda, został zmuszony do opuszczenia pozostawionej mu wspaniałomyślnie resztówki dawnych posiadłości na Litwie kowieńskiej — wujowstwo osiedlili się w Wilnie. Poczciwe, serdeczne miasto pełne kościołów, przesądów, plotek i starych ciotek, odpowiada im w zupełności; czują się tam mniej wydziedziczeni i oddarci od gleby ojczystej niż w każdem innem mieście. Wujowstwo należą do ludzi pielęgnujących wszelkie tradycje narodowe i rodowe z tem większą pieczołowitością, że są one niemal jedyną spuścizną, jaką odziedziczyli po przodkach. W znoszeniu mnogich przeciwności losu dopomagają im: wrodzona pogoda ducha, głęboko wkorzenione przekonania religijne i wypróbowane wzajemne przywiązanie. I choć wujenka Kazia mogłaby niewątpliwie być lwicą salonową, gdyby miała na to czas i ochotę, to jednak ani warunki materjalne (wuj Benedykt musiał się kontentować skromnem stanowiskiem urzędnika bankowego) niepozwalają jej na szeroki rozmach toaletowy, ani tego nie wymagają stosunki towarzyskie w poczciwem Wilenku, gdzie wszyscy, pochodzący z ziemiaństwa, są ze sobą spokrewnieni, tak, że gdziekolwiek się pójdzie, jest się zawsze w kółku rodzinnem. Więc mogła ciocia Kazia bezkarnie sobie pozwolić, i na przedwczesną tuszę, i na przydługie suknie, i nawet na długie włosy. Wiedziała, że mąż ją będzie kochał taką, jaką jest, a może nawet właśnie dlatego, że jest taką. Wuj Benedykt jest najmilszym i najdowcipniejszym z ludzi, ale Adonisa w niczem nie przypomina, o nie. Sądzę, że pięknym nie był nawet w najwcześniejszej młodości, tembardziej teraz, kiedy troski i kłopoty wypolerowały mu szeroką łysinę, a siedzący tryb życia zaokrąglił pokaźny brzuszek. Zaczepny w stosunku do niewiast nie bywał też nigdy; nie pozwoliłyby mu na to ani zasady wyniesione z domu, ani miłość, jakiej nigdy nie przestawał żywić dla swojej Kaziuni.

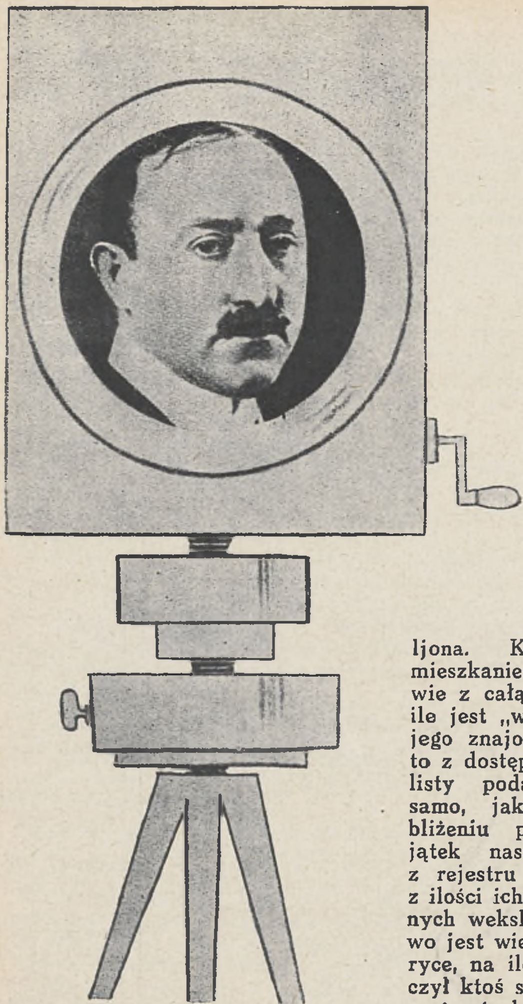
Wszystkie powyższe dane czynią całą tę nieprawdopodobną, a jednak prawdziwą historję, jeszcze mniej zrozumiałą.

Otóż mieli wujowstwo Dyrdowie (proszę się nieśmiać — to bardzo dobre kresowe nazwisko), owóż mieli wujowstwo bonę do dzieci, niejaką pannę Kordulę (takie imiona spotyka się tylko w okolicach Wilnaj. Było to pannisko — ani młode, ani ładne ani brzydkie. Trochę pretensjonalne, cudacznie od święta wystrojone... Ot takie sobie — pospolite czupiradło. Poczciwe z kościami. Dla dzieci dobra była i łagodna, do pracy wszelkiej chętna. Nieraz, w razie potrzeby, wyręczała panią domu w zajęciach gospodarskich, reperowała bieliznę, szyła bardzo dziecinne... Wujenka bardzo lubiła pannę Kordulę, wuj też, choć nie mógł się powstrzymać od dokuczania jej przy stole. Bo też i trudno było Korduli nie dokuczać. Bigos miała w głowie całkiem niewiarogodny, a w tym bigosie tkwiły jak kostki od wędliny w kapuście, dziwnie niezrozumiałe pretensje i aspiracje. Zdarzyło się naprzykład pewnego razu, że jakaś roztrzepana kuzyneczka wujenki, opowiadając swe wrażenia ze spędzonego w Warszawie karnawału, chwaliła się, że dużo tańczyła z jakimś hrabią, Wielopowskim czy Wiolikowskim... Nie pamiętała dokładnie jak się nazywał, ale charlestonował świetnie.

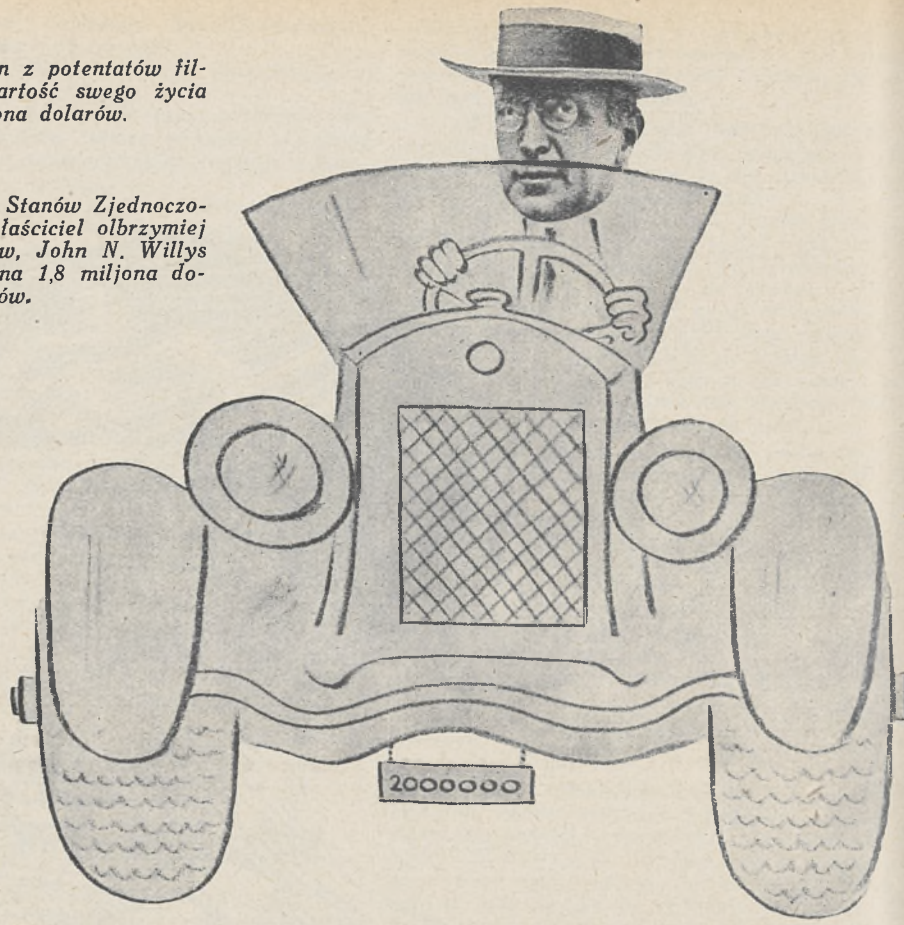


Należy być uzbrojonym w cierpliwość, żeby kupić markę na kartę z życzeniami świątecznemi. (Life.)

(Dalszy ciąg na str. 16-ej.)



William Fox, jeden z potentatów filmowych ocenia wartość swego życia na 6,5 miljona dolarów.



Obecny ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce i właściciel olbrzymiej fabryki samochodów, John N. Willys ubezpieczony jest na 1,8 miljona dolarów.

ŻYCIE LUDZKIE NA WADZE DOLARA

Kiedy Amerykanin chce powiedzieć, że jego majątek stanowi np. dwa miljony dolarów, mówi dosłownie: jestem wart dwa miljony dolarów, a John Hippkins tylko półtora. Znaczy to, że John Hippkins jest uboższy o pół miljona. Każdy bowiem mieszkaniec kraju dolara wie z całą dokładnością, ile jest „wart" on sam i jego znajomi — poznaje to z dostępnej wszystkim listy podatkowej, tak samo, jak my w przybliżeniu poznajemy majątek naszych bliźnich z rejestru handlowego i z ilości ich zaprotestowanych weksli. Równie łatwo jest wiedzieć w Ameryce, na ile tysięcy, czy setek tysięcy dolarów ubezpieczył ktoś swoje życie, choćby z tego, że nieraz czyta się w gazetach: Zmarły kupiec, czy przemysłowiec X, zasłużony gentleman, zostawił tyle i tyle miljonów dolarów w spadku, w czem 1,5 miljona pod postacią różnych ubezpieczeń życiowych. Bussines-smeni Nowego Świata dają wyraz swej „wartości" i znaczenia finansowego przez wysokość sumy, na jaką asekurowali swoje życie.

Nie uważają oni tego, jak europejskie drobnomieszczaństwo lub stan średni, za pewien rodzaj oszczędności, tylko za specjalnie solidną lokatę kapitału, która daje może mniejsze oprocentowanie, niż pozostały płynny kapitał, ale posiada pewną stabilizacyjną wartość, jako pewna i zabezpieczona rezerwa. Ta stabilizacyjna wartość ujawnia się specjalnie w czasach ciasnoty kredytowej i kryzysu, gdyż polisę ubezpieczeniową można zastawić łatwo i zyskownie, nawet wtedy, kiedy w żaden inny sposób nie udało się uzyskać pożyczki. Tak naprzykład podczas niedawnych „czarnych dni" na Wall-Street" (giełda) w N.-Jorku, wielu posiadaczy zdewaluowanych akcyj ratowało się przed licytacją tem, że oddając w zastaw swoje polisy ubezpieczeniowe, otrzymywali wzamian gotówkę, którą mogli jeszcze próbować giełdowych manipulacyj. Wielu z nich dzięki temu uniknęło ostatecznej klęski. Przy normalnych nawet operacjach kredytowych, udowadnia Amerykanin „wartość" swą jakiemuś konsorcjum, czy bankowi, podając wysokość swego ubezpieczenia na życie. Prawie wszystkie banki amerykańskie, aby zabezpieczyć swój kredyt na osobie i majątku kontrahenta, umieszczają w kwestjonarjuszu, jaki ma wypełnić, pytanie dość charakterystyczne: „Na jaką sumę, nieobciążoną żadnemi innemi zobowiązaniami, ubezpieczył(a) pan(i) swoje życie?"

Ubezpieczenie na życie, zwłaszcza w Ameryce, ma jeszcze jedną dodatnią stronę: oto w chwili zgonu ubezpieczonego nietylko realnie dokumentuje jego „wartość", ale pozwala odszukać i zadowolić spadkobierców, bez likwidowania firmy, której kapitał zakładowy i płynny, nienaruszony, daje jej możność dalszego rozwoju i egzystencji. Tak więc wszystko w Ameryce jest jak najpraktyczniej urządzone. Zdawałoby się, że „wartość", jej skala, podana w cyfrach sumy asekuracji na życie, jest paradoksem. Ale i ten paradoks, jak wszystko w kraju dolara — jest interesem.

E. S.



Śmierć Williama Wrigley, króla gumy do żucia, kosztowała towarzystwo ubezpieczeniowe 1,8 miljona dolarów.



Percy A. Rockefeller, ubezpieczył się na 3 miljony dolarów.

TAJNIKI OCEANÓW

W jednem z czasopism francuskich, prof. Joubin, dzieli się z czytelnikami niezmiernie ciekawemi szczegółami z życia mieszkańców głębin morskich. Zdawałoby się, że na wielkich głębiach mórz panują nieprzeniknione ciemności. Czy tak jest w istocie i jak reagują na to przebywające tam zwierzęta i ryby morskie?

Gdy promień słoneczny pada na pryzmat, załamuje się on i rozszczepia na promienie barw tęczy: fioletowy, błękitny, niebieski, zielony, żółty, pomarańczowy i czerwony; do tych promieni dodać należy jeszcze promienie pozaczerwone i pozafioletowe, niewidzialne dla naszych oczu.

Woda morska spełnia funkcję gigantycznego pryzmatu i rozszczepia część światła słonecznego, zaś drugą część odbija jak lustro. Promienie pozaczerwone i czerwone rozgrzewają powierzchownie warstwy wody i znikają, żółte przenikają dalej; jeszcze głębiej dostają się kolejno i znikają promienie zielone i niebieskie; na głębokości 1000 metrów pozostają już tylko promienie fioletowe; na głębokości 2000 metrów znikają prawdopodobnie nawet promienie ultrafioletowe. Gdybyśmy mogli przedostać się w te głębie, to poniżej 500 metrów jużbyśmy nic nie mogli odróżnić, ponieważ nasza siatkówka nie widziałaby nic przy słabem świetle fioletowych promieni, taksamo przy promieniach ultrafioletowych, na które jest wogóle nieczuła.

Inaczej ma się rzecz z tworami żyjącemi na dnie morskiem. Okazuje się bowiem, że nawet te z nich, które zamieszkują znaczne głębiny mają oczy, często nawet większe od ich współbraci, przebywających bliżej powierzchni morza, znaczyłoby to więc, że mogą się niemi posługiwać. Wiadomo bowiem, że organ, który pozostaje niezużytkowany, zniekształca się z czasem, poczem zanika. Ponieważ w danym wypadku organ wzroku istnieje, jest to najlepszym dowodem, że działa i że prawdopodobnie w „czarnych" otchłaniach morskich można jednakże coś zobaczyć.

Dokładne studja nad siatkówką oczu mieszkańców głębin oceanu wykazały, że jest ona zbudowana podobnie jak siatkówka oczu kotów i innych zwierząt ziemskich, widzących w nocy. Należy więc przypuszczać, że oczy tych zwierząt są czułe na promienie ultrafioletowe.

Cóż się jednak dzieje, gdy nawet te ostatnie znikają? Przekonano się, że zwierzęta żyjące poniżej 2000 metrów mają także oczy, nawet ryby, złowione poniżej 6000 metrów, nie są ich pozbawione. Nasuwa się więc pytanie, czy nie istnieje jakieś inne źródło światła (poza słońcem), oświetlające te ciemne głębiny i pozwalające ich mieszkańcom posługiwać się organami wzroku, w które są zaopatrzeni.

To zagadnienie jest już dzisiaj rozwiązane i dzięki postępom nauki wiemy z całą pewnością, że istnieją stworzenia żywe, które „wytwarzają" promienie i oświetlają morze. Rozpatrzmy niektóre z tych ciekawych osobników.

A więc przedewszystkiem bakterje — istnieje ich bowiem bardzo wiele w morzu, a niektóre z nich, bakterje świetlne, mogą być hodowane w laboratorjach.

Różne ryby wydzielają na powierzchni skóry świecącą ciecz. Inne stworzenia głębinowe: holoturje, jeżowce, gwiazdy morskie, meduzy posiadają tę samą właściwość, lecz nie posiadają odrębnych organów, specjalnie przystosowanych do funkcji oświetlania. W skórze pewnych stworzeń głębinowych znajdujemy specjalne i niezmiernie ciekawe przyrządy do wydzielania cieczy, która zaczyna błyszczeć przy zetknięciu się z wodą. Są to liczne skorupiaki, robaki, mięczaki i ryby, posiadające w pewnych określonych punktach swego ciała gruczoły, wydzielające płyn, zwany lucyferyną, i zaczynający świecić przy pierwszym kontakcie z wodą.

Istnieją mięczaki, u których gruczoły, wydzielające w obfitości świecącą ciecz, są bardzo udoskonalone, jak np. skałotocze, bardzo rozpowszechnione na europejskich wybrzeżach. Gdy się je podrażni w nocy wyrzucają z siebie strumień wody z lucyferyną, która błyszczy pięknie, jak promień ognisty. Jeśli z tej lucyferyny zrobimy roztwór i umaczanym w nim pędzelkiem będziemy rysowali na papierze, uprzednio nasyconym innym odpowiednim roztworem, to skonstatujemy, że na papierze zjawią się ogniste znaki lub litery.

Śród licznych zwierząt głębinowych światło jest „wytwarzane" zapomocą nadzwyczaj udoskonalonych organów. Do chwili obecnej poznano je bliżej u skorupiaków, głowonogów, żachw i ryb, i wiemy teraz, że te organy, uchodzące dawniej za coś bardzo rzadkiego, są właściwie ogólnie rozpowszechnione u stworzeń żyjących głęboko, są one nawet charakterystyczne dla zwierząt głębinowych. Gdy przyjrzymy się bliżej owemu ciekawemu narządowi skonstatujemy, że składa się on z dwuch części: pierwsza — źródło światła — to gruczoł, wydzielający błyszczącą ciecz, druga — to skomplikowany aparat optyczny, umieszczony przed źródłem i koncentrujący promienie, wydzielone przez to ostatnie. Aparat ten składa się z wklęsłego lustra i soczewek umieszczonych w ten sam sposób jak w oku ludzkiem, lecz działa wprost przeciwnie niż u ludzi. Do naszego oka światło przenika z zewnątrz, u ryb zaś w organach, wydzielających światło, dzieje się naodwrót. Światło wytryska na zewnątrz w kształcie snopu promieni, oświetlających wodę wokół niego.

Ten skomplikowany aparat optyczny bywa nieraz jeszcze bardziej udoskonalony, wydziela bowiem światło różnych kolorów, jak błękitne, czerwone, żółte, zielone, białe. Każde stworzenie ma zazwyczaj barwę, jemu właściwą, lecz niektóre głowonogi posiadają zdolności dowolnego zmieniania barwy swojej skóry.

Teraz zachodzi pytanie, jaki cel ma to promieniowanie u ryb morskich, a nieistniejące u ryb wód słodkich?

Odpowiedź jest zupełnie jasna: przedewszystkiem poto by oświetlić siebie i swych współmieszkańców.

Jak więc widzimy światło słoneczne, które nie przenika do głębin morskich, jest tam zastąpione innemi środkami pomocniczemi.

Organy nieistniejące wcale u innych stworzeń lub służące do zgoła innych celów są tak wyspecjalizowane u mieszkańców głębin, że dzięki nim nawet w najtajniejszych głębiach oceanu nie panują niepodzielnie ciemności.

Emce.

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ.

PAN ZŁODZIEJ

— Jakto? — przerwałem — usprawiedliwiasz kradzież? W pewnych wypadkach? Świetnie! Domyślam się, że nastąpi teraz natchniona obrona nieszczęśliwych, którzy kradną z głodu — na chleb powszedni suchy — lub z masłem i miodem! Uprzedzam cię, że znam aż nadto dobrze ten tryb demagogicznego rozumowania. Nie byłeś sam nigdy godny i dlatego tak wielki strach przejmuje cię na myśl o pustych kiszeczkach. Wierz mi, do głodu łatwiej się przyzwyczaić, niż do... złej kuchni. Głód jest motorem pokoleń. Pozatem...

— Skoro sobie przerywamy — rzekł Roman — pozwól, że i ja... Nie, kradzież z głodu jest usłuchaniem wołania z nizin materji... O taką kradzież dopominają się silne instynkty, zmysły, elementarna cielesna potrzeba. Wogóle — jeśli kradzież jest zaspakajaniem swoich potrzeb ze szkodą stanu posiadania bliźniego, to kradzież dokonana z głodu jest najbardziej charakterystyczną. Nie, nie bronię bynajmniej tej kategorji złodziei. Jeśli jednak pojęcie głodu rozszerzyć, to pewne wyższe pragnienia usprawiedliwiają w moich oczach sprawcę kradzieży.

— Naprzykład — chęć posiadania Giocondy.

— Niechcący trafiłeś — postaraj się teraz zrozumieć. Złodziej Giocondy ukradł ją dlatego, że jest to bezcenne dzieło sztuki, za które spodziewał się uzyskać sumę olbrzymią. Ale wyobraź sobie, że tę samą Giocondę kradnie młody chłopak, szalejący za pocztówkami i reprodukcjami, z których czaruje go i urzeka przedziwny uśmiech, wyraz naprawdę zagadkowy. Chłopak ten, ogarnięty swoją namiętnością dociera wreszcie do Louvre'u i kradnie uśmiech już nie reprodukowany, lecz oryginalny, kradnie dla siebie — nie dla innych; kradnie żeby wymodlić sobie tem posiadaniem i zapatrzeniem dosyt i spokój, po które zapewne sięgnął i Leonardo, niespokojne swe marzenie przenosząc na płótno. Czy potrafisz pojąć, że kradzież taka jest Kradzieżą przez duże K, że wplątał się tu czynnik niezawodnie uszlachetniający wszystką pospolitość — namiętność prawdziwą tęskniącego ducha.

— Namiętność tęskniącego złodziejskiego ducha kazała niedawno jakiemuś drabowi skraść mi weneckie porte - cigarette, stare już i wytarte, ale pamiątkowe. Złodziej skradł to z samej gwałtownej potrzeby kradzenia — i pewnie wyrzucił na śmietnik. Mam go wytłomaczyć?

— Nie - wart jest kryminału, gdyż pozbawił cię pamiątki, czyli *wartości duchowej*. Wprowadziłbym specjalnie ostry paragraf do kodeksu karnego dla takich właśnie wypadków. Wszystko, a więc i czyny godne, należałoby poddać właściwym kryterjom względności. Wyobraźmy sobie kogoś, kto udaje się z setką złotych do lombardu, aby wykupić tam w ostatniej chwili brylant, wartości dajmy na to tysiąca złotych. Te sto złotych wykrada mu złodziej, który — sam o tem niewiedząc i mając w kieszeni tylko te sto — w istocie jest złodziejem tysiąca. Jeśli brylant przepadnie i jego właściciel z rozpaczy — dajmy na to — z tego właśnie powodu — powiesi się — to złodziej staje się moralnym sprawcą tej śmierci i odpowiadać winien właściwie za zabójstwo.

— Umyślne, czy mimowolne? — wtrąciłem.

— Oczywiście, że mimowolne... Nie, może raczej — umyślne. — Mniejsza z tem narazie. Chciałem ci tylko wykazać, że mam raczej skłonność do surowości w potępianiu kradzieży. Ale co innego — kradzież — że tak się wyrażę — duchowa, która słabem echem zaledwie jest czy i spełnienie, kradzież względna, kradzież.

— Przez duże K.

— No właśnie. Widzę, że już zrozumiałeś. Jeszcze, tylko kilka przykładów...

Zapaliliśmy papierosy i mój przyjaciel ciągnął dalej.

— Więc — choćby ten papieros. Jeśli przyłożę ci browning do skroni i zażądam papierosa, to zapewne dasz mi go, ale bynajmniej nie ze strachu. Któż uwierzyłby, że dla papierosa mógłby nastąpić strzał i zabójstwo. Dałbyś papierosa na odczepnego, żeby uwolnić się od niemiłej sytuacji, tak jak często daje się monetę natrętnemu żebrakowi, aby nie mieć widoku brudnych, czy kalekich kończyn, nie wąchać cuchnących łachmanów, nie słyszeć skamlania, wykupujesz się świadomie. Tamto nie jest rabunkiem, to nie jest ustąpieniem woli kogoś, czyhającego na twoją własność. Kradzieżą natomiast jest wzięcie papierosa z otwartej papierośnicy kolegi biurowego, który na chwilę znikł; tak samo jeśli przyzwyczaiłeś żebraka do codziennego datku i razu pewnego — przez kaprys lub zapomnienie nie dasz tych 20 groszy, na których ci nie zależy, to zupełnie słusznie czuje się on tego dnia *jak okradziony*, lub wprost uważa się za okradzionego. Subtelna różnica polega na świadomości lub nieświadomości tego, który traci. Dając papierosa bandycie i grosze żebrakowi *wiesz*, że dajesz, choćby niechętnie; przyjaciel zaś twój i żebraków, pozbawiani — pierwszy papierosa, drugi 20 - groszówki — *nie wiedzą* o tem, że to ich spotyka.

— Słuchaj Romanie — rzekłem — więc złodziej, który uprzeda o kradzieży...

— Mój drogi, to mało uprzedzić. Gdyby złodzieje mówili: kradnę oto, czy pan pozwala — i nie braliby nic, gdyby pan nie pozwolił — no, to nie byliby złodziejami. Ale czekaj, idźmy z powrotem.

— Streszczając się...

— No tak. Więc jeśli namiętny filatelista, zbieracz antyków, kolekcjoner motyli — kradnie przedmiot swego namiętnego pożądania, aby dokompletować zbiory, aby co rano chciwem sercem przylgnąć do zdobytego skarbu, brać go w swoją świadomość i zmysły i szaleć z dziwnego szczęścia; jeśli przedmiot jakikolwiek zaświeci nam wszystkimi blaskami fetysza i zdobywamy go tak czy inaczej; jeśli ponad mnogiemi sprawami życiowemi góruje od nakazów etyki i hamulców woli silniejsza pasja — to tak popełniona kradzież przestaje być kradzieżą pospolitą i wulgarną. Chodzi tam tylko o zysk duchowy, moralny. Przypomnij sobie historję obrazu Matki Boskiej z Gwadelupy, skradzionego przez Sapiehę, ileś tam lat temu. Były pościgi, była nawet klątwa! I cóż? Dziś w Kodniu obraz jest przedmiotem kultu wszystkich katolików polskich, a *czyn* sam, choć będący niewątpliwie odmianą kradzieży, ma cechy takiej bezinteresowności i nabożeństwa dla treści, która została porwana, że nie przynosi ujmy tamtemu magnatowi, choć był przecież no... sprawą kradzieży. Uważasz? nawet mówi się o tem delikatnie. Co tu zresztą mówić! Złodziej w wielkim lub szlachetnym stylu nie może być potępiany. Grunt — to pobudki. Rozumiesz?

— Rozumiem — odrzekłem. Więc poprostu — *przyznaj się*, Romanie, *przyznaj się...* i uderz się w piersi. My cię zrozumiemy i wyb...

Roman patrzył na mnie, szykując właściwą odprawę, gdy drzwi otworzyły się nagle i w pokoju stanął ktoś trzeci.

Odwróciliśmy głowy i błyskawicznie spojrzeliśmy po sobie. Człowiek ten niepokoił bystrym wzrokiem, wątpliwą elegancją postaci, białemi rękami, które miały niewinny i zaczajony wygląd, tudzież odpychającym fałszywie szczerym uśmieszkiem.

Nie ruszyłem się z miejsca, powoli przesuwając ręką w kierunku półotwartej szuflady biurka, gdzie leżał rewolwer. Zauważyłem podobny odruch Romana, który bez pośpiechu wstał i niedbale włożył obie ręce do kieszeni.

Pół sekundy milczenia wystarczyły, abym zadziwił się odwadze bandyty, który śmie napadać dwu silnych mężczyzn. Po przelotnem spojrzeniu Romana poznałem odrazu, że jest również zdziwiony i zaniepokojony, i że gościa określił również, jako bandytę.

W chłodku, który nagle powiał przez pokój, nieznajomy zaczął mówić.

— Panowie pomylili się bardzo uprzejmie — rzekł. Nie jestem żadnym tam bandytą!

— Przypuśćmy, że nie — odrzekł Roman. Czego pan tu sobie życzy?

— A gdybym o co poprosił, po dobroci, to i takby pan tam niedał — odrzekł gość. Ale co ja tam... Ja tam nie do pana, tylko do pana.

Zwrócił się do mnie.

— Kto pan tam jest? — rzekłem bez ceremonji.

Gość mrugnął mi porozumiewawczo w stronę Romana.

— To mój przyjaciel — powiedziałem — i nie mam przy nim tajemnic.

Gość zamyślił się.

— Dobrze więc! — odrzekł. Jak się popełniło rzecz złą, to trzeba mieć odwagę przyznania się całej ludności. Ja jestem proszę pana złodziej zawodowy — nie żaden bandyta. Operuję tylko w sferach wyższych. I przyszedłem po to, aby przeprosiwszy pana, zwrócić panu te — to...

To mówiąc położył na stole moją wenecką papierośnicę. Była trochę bardziej przybrudzona. Spojrzeliśmy na pana złodzieja i — rzecz nieprawdopodobna — ujrzeliśmy ceglasty rumieniec.

— Hę — rzekłem to bardzo dobrze. Ogłaszałem, że to pamiątka. Proszę — tu jest 20 złotych nagrody. Gdzież mi pan... złodziej wyciągnął to?

— W tramwaju proszę pana. Jeszcze mi pan nadepnął na nogę i bardzo przeprosił. Właśnie wtedy tam... Ale ja...

— Rozumiemy dobrze. Rzecz nic nie warta. Wolał pan oddać — zawsze 20 złotych. No ale pan odważny — swoją drogą — tak przyjść...

— Pan się myli — odrzekł złodziej. — To jest zupełnie inaczej z tą skórą (tu rzucił złem okiem na papierośnicę). A i nagrody nie chcę. Ja tak — ze swojej woli — nie dla nagrody tam...

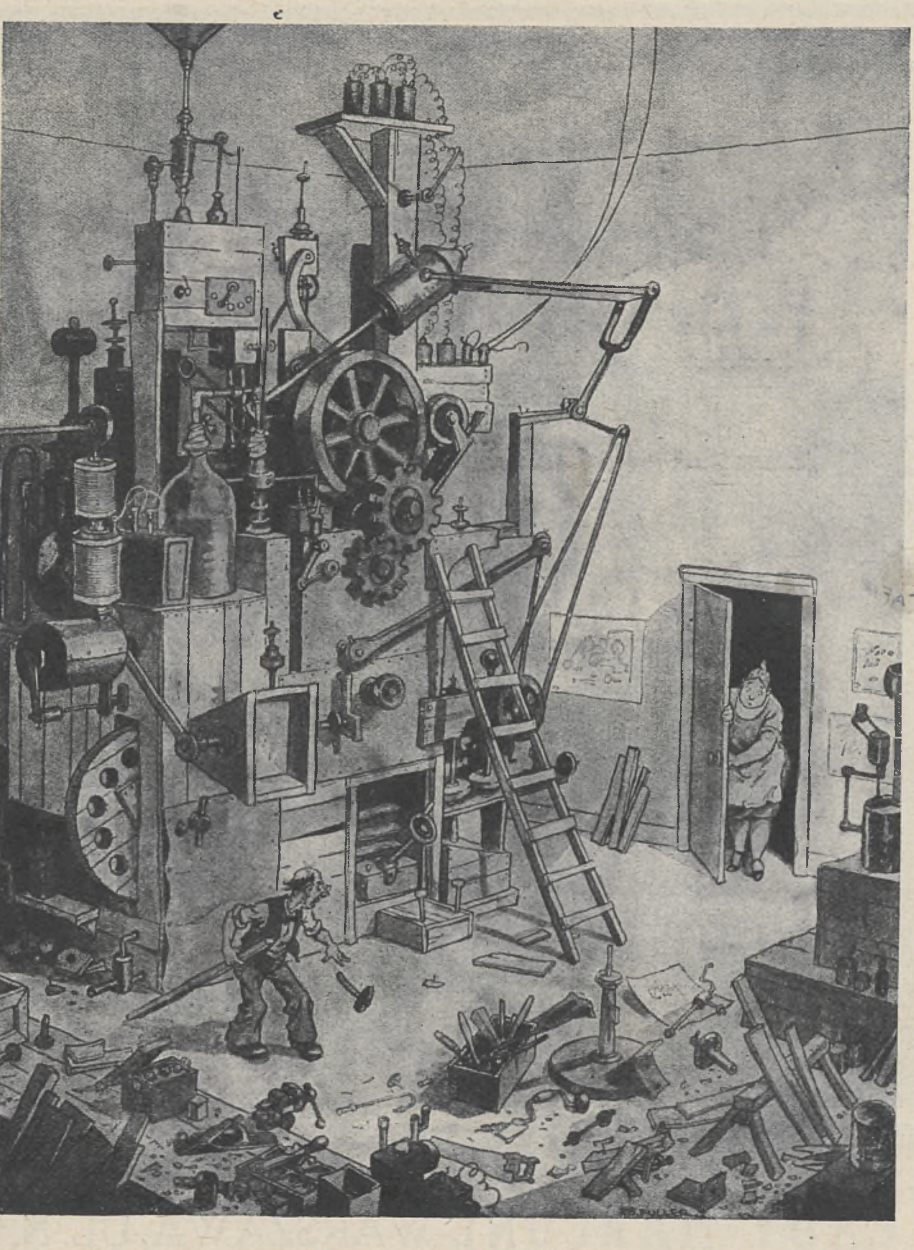
Czekaliśmy milcząc, aż wyjdzie.

— Więc tak — złodziej cisnął się — muszę powiedzieć wszystko.

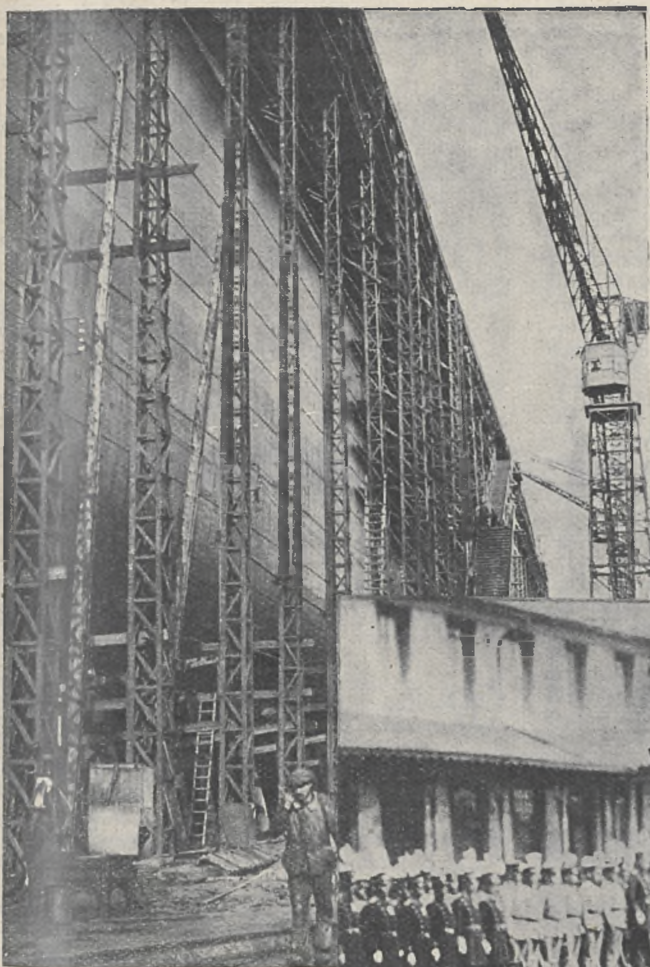
Ja proszę panów chcę być porządnym złodziejem.

(Dalszy ciąg na str. 16-ej.)

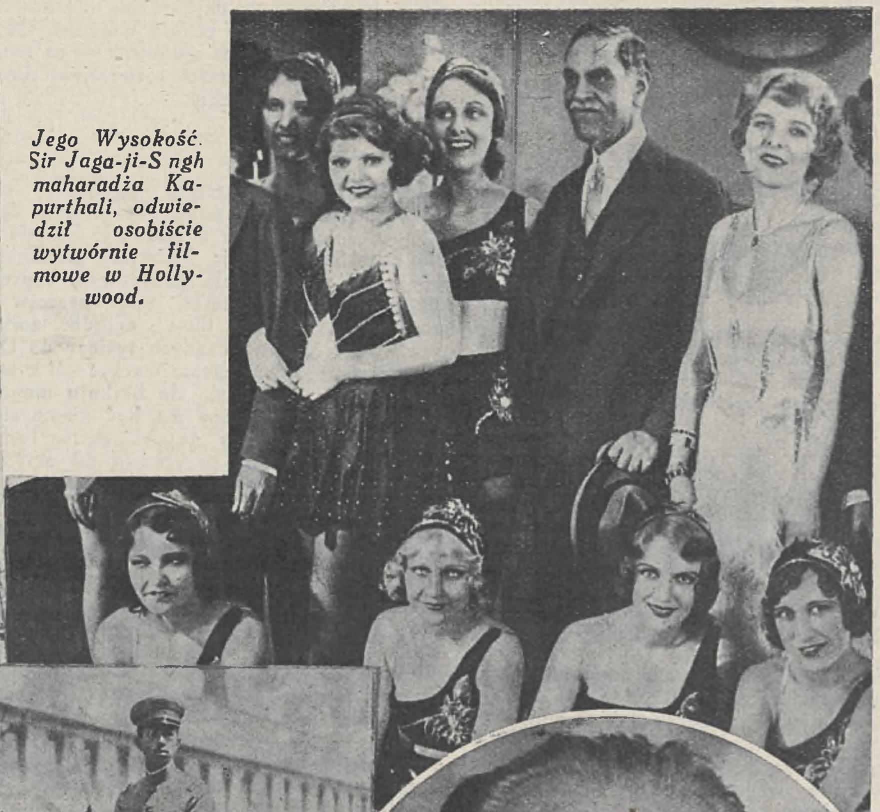
Genjusz wynalazczości w opałach



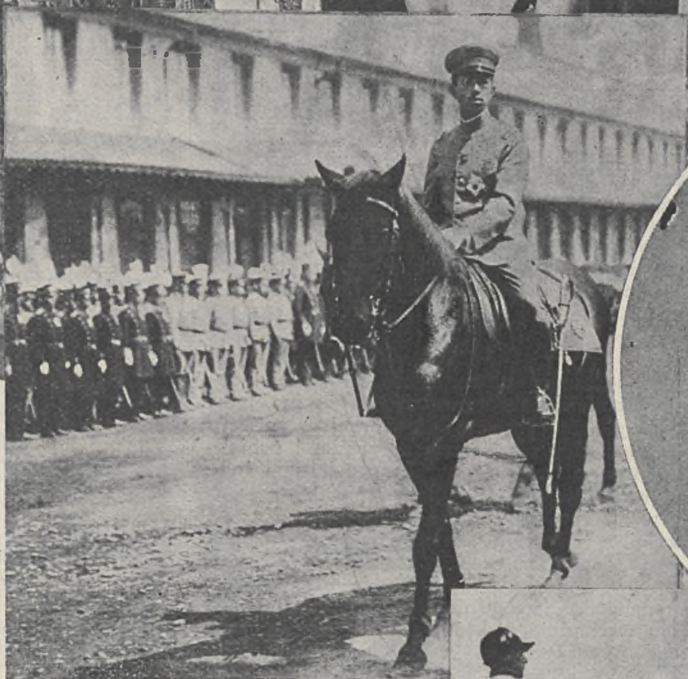
— Mógłbyś przynajmniej naprawić pułapkę na myszy...



W St. Nazaire, we Francji, budują nowego olbrzyma pasażerskiego nazwanego „Atlant.que". Będzie to na,większy statek transatlantycki na świecie, szybkość zaś jego stanowić będzie nowy rekord.



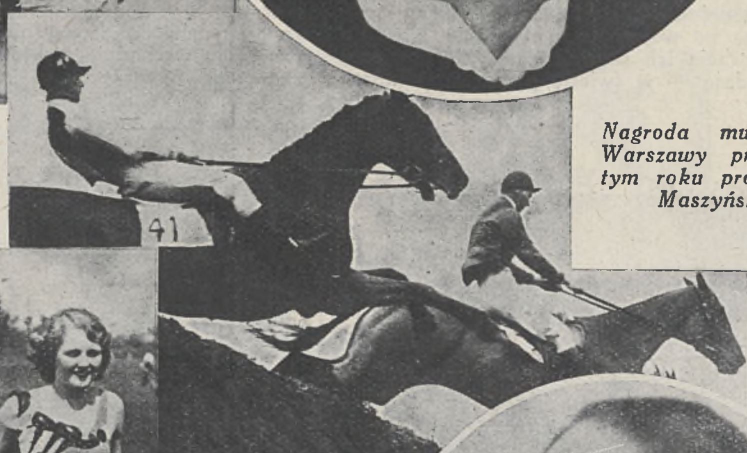
Jego Wysokość Sir Jaga-ji-S ngh maharadża Kapurthali, odwiedził osobiście wytwórnie filmowe w Hollywood.



Cesarz japoński Hirohito odbywa przegląd szkoły kadetów.



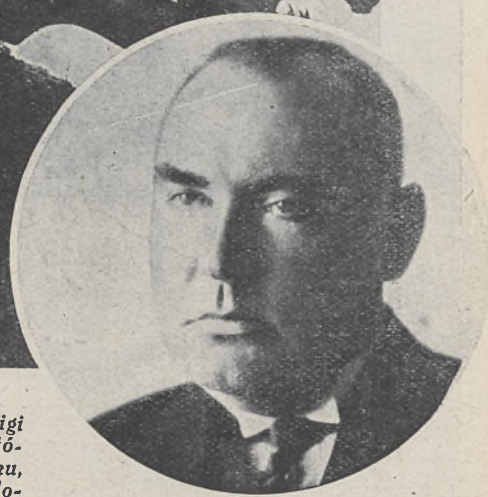
Nagroda muzyczna m. Warszawy przypadła w tym roku prof. P otrowi Maszyńskiemu.



Tradycyjne wyścigi w Liverpool, w których, w tym roku, tylko 4 konie doszły do mety.



Znani aktorzy filmowi, Al Spinoza i Johnny Farrell, uczestniczą w międzynarodowych zawodach golfa w Miami, na Florydzie. Rolę chłopców do noszenia przyborów grają królowe piękności.



Nowym prezydentem Łotwy został obrany Albert Kwiesis, dotychczasowy wicemarszałek sejmu.

Co słychać na świecie

Konferencja pięciu mocarstw morskich w Londynie zakończyła się ostatecznie porozumieniem trzech z pośród nich, najpotężniejszych wprawdzie na morzu — ale nie wszystkich. Porozumiały się mianowicie z sobą Wielka Brytanja, Stany Zjednoczone i Japonja; Francja i Włochy do porozumienia nie przystąpiły.

Trójporozumienie morskie ustaliło wzajemny stosunek swych sił na morzu. Tak więc W. Brytanja posiadać ma 339 tysięcy ton krążowników mniejszych i większych, 150 tys. ton torpedowców i 52,7 tys. ton łodzi podwodnych. Krążowniki ogółem Stanów Zjednoczonych wyrazić się mają w kwocie 323,5 tys. ton, torpedowce — 150 tys. ton i łodzie podwodne — 57,7 tys. ton. Japonja posiadać ma w krążownikach ogółem 208.9 tys. ton, w torpedowcach 105,5 tys. ton, wreszcie w łodziach podwodnych 52,7 tys .ton.

Porozumienie to, co do liczby ton poszczególnych kategoryj okrętów bojowych, nie obejmuje, jakeśmy wspomnieli, Francji ani Włoch. Niemniej dwa te państwa podpisać mają zobowiązanie, iż na lat 6 zaniechają zamiany obecnie posiadanych okrętów wojennych na nowe. Zobowiązanie to posiadać ma olbrzymią wagę dla W. Brytanji, pozwoli jej bowiem zaoszczędzić znaczną kwotę w miljonach funtów szterlingów, jaką w przeciwnym razie należałoby wydatkować na tak zwane w języku dyplomatycznym: wykonanie programu morskiego.

W opinji Stanów Zjednoczonych panować ma z osiągniętego porozumienia — niezadowolenie. Koła zbliżone do admiralicji amerykańskiej podkreślają, że parytet floty Stanów Zjednoczonych i W. Brytanji będzie iluzoryczny, Stany będą musiały bowiem skreślić ze swego programu 5 krążowników, których budowa ma być dla celów obrony narodowej nieodzowna.

Francja natomiast, jak to podkreślają dzienniki, otrzymała prawo wyzyskania tonażu, objętego układem waszyngtońskim, z którego dotychczas nie skorzystała. Wybudowałaby w takim razie dwa wielkie krążowniki, rezygnując z nich wówczas jedynie, gdyby Niemcy zaniechać miały budowy nowego krążownika „Ersatz Preussen". Dzienniki francuskie podkreślają przytem w związku z wynikami konferencji londyńskiej, iż Francja, po raz pierwszy od czasu zakończenia wojny, wychodzi zwycięsko z konferencji międzynarodowej, przyczem jednak zwycięstwo to jest bankructwem polityki pacyfistycznej. Briand — według komentarzy prasowych — poświęcić miał w Londynie część marynarki francuskiej na rzecz zawarcia paktu, któryby gwarantował od biedy bezpieczeństwo Francji; dziś jednak jest już rzeczą pewną, że Anglja nie da ani jednego szylinga, ani też ani jednego żołnierza na wojnę na kontynencie, a co do Włoch, to Francja ich samych strzec się powinna.

Tak wyglądają — w świetle pogłosek zakulisowych — stosunki pomiędzy sojusznikami. O Niemczech wiemy — podnoszono to w prasie z początkiem konferencji, na którą zaproszone nie zostały — że w ramach traktatu wersalskiego starają się mieć najszybsze, najbardziej udoskonalone, najbardziej współczesne okręty wojenne. Obecnie wysłały one swą flotę na manewry — na morze Śródziemne, dokąd marynarce niemieckiej dowozić mają opał statki sowieckie.

*

O krwawych starciach pomiędzy studentami hinduskimi a policją angielską donoszą ostatnie depesze z Kalkuty. Starcia te wiążą się pośrednio z akcją Mahatmy Gandhiego, która początkowo być miała pokojowym czysto oporem 300-miljonowej ludności Indyj przeciw władzom angielskim. „Rządca dusz", Gandhi, zorganizował, jak wiemy, pochód licznych tysięcy do Dandi, nad brzeg morza, gdzie zaczął warzyć sól z wody morskiej, dając tem hasło do bojkotu monopolu solnego w Indjach, który ma być niemoralnym jako podatek, obciążający najuboższą w Indjach ludność, której jedyną przyprawą do potraw niejednokrotnie jest właśnie sól monopolowa. Dalej iść miał bojkot napoi wyskokowych, od których podatek na rzecz władz angielskich jest — w pojęciu Gandhiego — również niemoralnym, bo pobieranym od występku pijaństwa.

Ruch Gandhiego, który początkowo miał być czysto pokojowym, biernym oporem przeciw władzom angielskim, dziś, jak widzimy, przeradzać się zaczyna w ostre starcia. Gandhi wprawdzie ostrzega jeszcze, iż za każdego zabitego policjanta władze angielskie prześladować będą tysiące Hindusów, — ale w związku ze strajkiem kolejowym już padają bomby, a giełda w Bombayu została zamknięta na znak protestu przeciw szarży policji na tłum. Po raz pierwszy biorą udział w życiu politycznem kobiety — właśnie pod wpływem akcji Gandhiego.

Akcja ta jest niewątpliwie początkowem dopiero stadjum indyjskiej walki o niepodległość. Nie rozstrzygnie się ona zapewne szybko, ale, raz rozpoczęta, stłumić się już zapewne nie da nigdy.

*

Parlament Rzeszy uchronił się od zapowiadanego już niejednokrotnie rozwiązania, przyjmując 217 głosami przeciw 206 wniosek w sprawie iunctium pomiędzy programem agrarnym i projektami finansowemi rządu. Charakterystycznym było przytem szczegółem, że w głosowaniu tem stronnictwo niemiecko - narodowe podzieliło się na dwie części, z których jedna głosowała za rządem, druga z Hugenbergiem przeciw rządowi. W dalszem głosowaniu przyjęto program agrarny min. Schielego oraz uchwalono przyśpieszenie realizacji t. zw. programu wschodniego, który ma na celu „obronę zagrożonej niemczyzny na kresach wschodnich".

Program agrarny min. Schielego spotkać się ma jednak, według ostatnich doniesień, z energicznym protestem posła polskiego w Berlinie, do którego — jak to nawet zapowiadają pisma berlińskie z ostatniej daty — przyłączą się i inne państwa, poruszając przytem sprawę tę w Genewie. Program ten mianowicie przewiduje zwyżki opłat celnych od szeregu artykułów spożywczych i płodów rolnych, a zwyżki te są tak wysokie, iż równają się wprost zakazowi importu tych produktów. Warto przytem podkreślić, że podwyżki rzeczone zostały zaprojektowane w momencie, gdy w Genewie po długich naradach opracowano konwencję międzynarodową, mocą której wszystkie państwa, wraz z Rzeszą, która konwencję tę podpisała, ograniczają swą swobodę działania w dziedzinie ustawodawstwa celnego. Gdyby podwyżki te wejść miały w życie, tem samem sprowadzałyby ewentalnie zawarty traktat handlowy polsko-niemiecki do zera. Kontyngent naszego eksportu wieprzowiny przy cle ruchomem, dochodzącem do 36 mk. niem., stawałby się nierealny, a cały szereg polskich produktów rolniczych traktowany byłby gorzej, niż w czasie wojny celnej przy cłach t. zw. bojowych.

A wicekanclerz Rzeszy, Dietrich, twierdzi mimo wszystko, że umowa handlowa polsko-niemiecka musi być ratyfikowana!

*

Komisja imigracyjna izby w Stanach Zjednoczonych uchwaliła wniosek w sprawie zezwolenia na swobodny wjazd do Stanów rodziców naturalizowanych obywateli amerykańskich z warunkiem, że rodzice ci muszą mieć conajmniej lat 55.

*

Według ostatnich doniesień prasy paryskiej, jeden ze świadków stwierdził, że w porwaniu gen. Kutiepowa brała udział agentka GPU Janowiczowa, którą następnie samochodem ambasady wywieziono do granicy belgijskiej. W ten sposób odpowiedzialność sowietów za porwanie generała zdaje się nie ulegać wątpliwości.

*

W ciągu ostatnich obrad w sejmie gdańskim w związku z deficytami budżetowemi wolnego miasta senator Jewelowsky oświadczył, że należy załatwić cały szereg spraw spornych w stosunkach polsko-gdańskich, o ile bowiem Gdańsk nie doprowadzi do zupełnego porozumienia z Polską, to gospodarka wolnego miasta zupełnie upadnie.

*

Podpisany ostatnio traktat handlowy polsko-grecki zawiera cały szereg ulg dla towarów polskich w Grecji i wzajemnie, obejmując nadto szereg klauzul dla osób cywilnych, oraz specjalną umowę nawigacyjną.



Młody anglik Reginald Reynolds, który zawiózł wice-królowi Indyj listy Ghandiego z zawiadomieniem o wybuchu rewolucji solnej.



Zioła lecznicze Cholekinaza leczą choroby wątroby, kamienie żółciowe, złą przemianę materji. Broszura Dr. T. Niemojewskiego przy każdem pudelku. Skład główny, Warszawa, Nowy Świat 5.



Nowy negus Abissynji, Taffari-Makonnen, który po śmierci cesarzowej Zaoditon proklamował się sam panującym.

W ZAPASACH Z GŁODEM

Głodówka więźniów jest „wynalazkiem" prasy. Dziwnie to brzmi, ale tak jest. W dawnych Bastyljach nikt nie wymyśliłby tego sposobu wymuszania i nie bez powodu. Nie było gazet, któreby zwróciły uwagę publiczną na cierpienia więźnia, który był skazany na skonanie w kompletnem zapomnieniu swoich tortur głodowych i protestów.

Dzisiaj więzienia są domami szklanemi i takie zdarzenia, jak strajki głodowe więźniów, zawsze wywołujace pewien odruch w opinji, bardzo szybko przedostają się do wiadomości ogółu. Raz po raz, to tu, to tam, mówi się o czyjejś głodówce. Ostatnio temat ten dostarczył znów obfitego żeru prasie codziennej, z powodu sensacyjnych perypetyj osławionej bankierki paryskiej, Marty Hanau, która od czasu głośnego krachu w grudniu 1928 r. jej koncernu bankowego „Gazette du Franc" przebywa w więzieniu paryskiem, oczekując procesu. Dla zaprotestowania przeciw odwlekaniu rozprawy, przez 22 dni prowadziła strajk głodowy, a w międzyczasie zdobyła się na niewiarogodną ucieczkę ze szpitala, gdzie ją odżywiano siłą, i powrót do więzienia, co wszystko razem narobiło w Paryżu niemałej wrzawy. Ale rzecz szczególna: ta sama kobieta, która była znienawidzona i przeklinana przez tysiące ludzi, co przez nią potracili nawet całe majątki, spotyka się naskutek ostatnich przejść z litością, ze współczuciem dla swego losu.

Zawsze bowiem widmo śmierci głodowej wywierało i wywiera potężne wrażenie. Głód — to jest, bądź co bądź, wielkie słowo. Głód w formie postu należy do dogmatów wszystkich religij, ma w sobie coś mistycznego, ma często wszelkie cechy symbolu.

Nie tak dawno dopiero uczeni zbadali mniej więcej dokładnie zjawisko głodu, pod względem naukowym i jego skutki w sensie fizjologicznym.

Czy człowiek może żyć bez odżywiania się i jak długo?

Większość zebranych doświadczeń zdaje się dowodzić, że człowiek normalny powinien umrzeć po około dwudziestu dniach zupełnego postu. Temu jednak zdają się przeczyć wypadki o wiele dłuższych postów. We wszystkich tych razach — trzeba przyznać — zachodzą specjalne okoliczności. Raz ma się do czynienia z zawodowymi głodomorami, którzy pokazują się za pieniądze i którzy specjalnie są wytrenowani, przyczem często jeszcze w takich pokazach zachodzą wypadki oszustwa, pomimo najsurowszej kontroli. W innych razach egzaltacja, podniecenie nerwowe, przedłuża sztucznie odporność głodującego. Czy to będzie więzień, praktykujący głodówkę, czy rozbitek na pustkowiu oceanu, czy wreszcie jakiś mistyk, każdy z nich podtrzymywany jest siłą woli, nadziei, albo wiary. Tem się tłumaczą zadziwiające wręcz rekordy postne, które dotąd zarejestrowano.

Z chwilą, gdy organy trawienia przestaną przyjmować pożywienie, ciało zaczyna żywić się własnemi zapasami, to znaczy pochłania zwolna tłuszcz. Dlatego ludzie otyli dłużej wytrzymują głód, niż chudzi. Oczywiście, te zapasy ludzkiego tłuszczu nie są nieograniczone. Wzrastające chudnięcie jest oznaką ich wyczerpania. Cytuje się wypadek pewnego głodomora, który w ciągu 30 dni postu stracił na wadze 45 kilogramów, zszedłszy z 70 na 25 kg.! Trzeba jednak zaznaczyć, że główne zaburzenia w organiźmie pochodzą nietyle z głodu, ile z pragnienia. Gdy ciało odwadnia się zupełnie, występuje gorączka. Pozatem zawsze w organiźmie znajdują się pewne cząstki organiczne, które rozkładając się, mogą spowodować zatrucie! Dlatego to zawodowi głodomorzy i większość strajkujących głodowo popija wodę, zwalczając przez to gorączkę i rozpuszczając zepsute cząstki organiczne.

W ciągu trzech pierwszych dni głodujący ogromnie cierpi z powodu wilczego apetytu. Potem żołądek, skurczony i rozgorączkowany, przestaje się domagać jedzenia, ale daje znać o sobie przez bolesne kurcze. Pozostaje pragnienie. Jeżeli nic się nie pije, wargi się lepią, mówienie przychodzi z trudnością. Począwszy od piątego dnia słabnie serce. Później pojawia sę coś w rodzaju oszołomienia, przerywanego kurczami i zawrotami głowy. Zdecydowana wola kontynuowania głodówki u wielu strajkujących więźniów tłumaczy się tem, że od pewnego momentu są tak osłabieni, że nie mają już ochoty nic jeść i żyją jakby w półśnie. Wtedy też, choćby głodujący zgodził się na przerwanie swej tortury, nie można go już najczęściej uratować. Tak więc irlandzki burmistrz Corku, więziony przez Anglików, umarł dopiero po 73 dniach swojego męczeństwa, ale już około czternastego dnia był zgubiony. Zrujnowane organy nie mogłyby już na nowo rozpocząć normalnego funkcjonowania!

W wypadkach, gdy głodomora można uratować jeszcze, trzeba wystrzegać się obfitego nakarmienia go odrazu, bo toby go zabiło. Powoli, w małych, lecz częstych dozach, trzeba na nowo przyzwyczaić żołądek do pochłaniania potraw. Można upartych zwolenników bezwzględnego postu odżywiać siłą, ale wymaga to ogromnie skomplikowanych aparatów i nadzwyczajnych zachodów. Słychać jednak, że w Ameryce wynaleziono sposób unieszkodliwiania głodówki przez zastrzyki.

REKORDY GŁODOWE.

Ludzie, którzy uprawiają głodówkę, mogą być podzieleni na trzy kategorje: chorych, głodomorów przypadkowych i umyślnych.

Do pierwszej grupy trzeba zaliczyć tych, którzy naskutek jakichś zaburzeń organicznych, nie są w stanie przez jakiś czas nic jeść. Znane są wypadki z ludźmi, którzy latami żywią się tylko troszką wina, albo różnych wywarów. Często ataki histerji przeszkadzają kobietom jeść niektóre potrawy. Pewna młoda Niemka straciła w ten sposób nagle apetyt do gorących potraw i przez trzy lata żywiła się tylko zimnem jedzeniem. Próbowano ją leczyć, ale raptem straciła apetyt i do zimnego mięsa. Przez siedem lat potem, nie jadła prawie nic.

Zachodzą następnie wypadki przymusowej głodówki. W czasie okropnej katastrofy górniczej w Courrieres we Francji w r. 1906, w której zginęło 1200 górników, stracono wszelką nadzieję odnalezienia przy życiu jednej z zasypanych drużyn górniczych, gdy raptem dwudziestego dnia z pod rumowisk wygrzebano trzynastu ludzi, a raczej trzynaście widm. Mimo strasznej głodówki byli zdrowi i cali. Potem znaleziono jeszcze jednego, który przez 25 dni pościł, i tego również udało się uratować.

Wśród głodomorów dobrowolnych odróżnijmy również trzy kategorje: zawodowców głodujących na pokaz dla zarobku, mistyków i wreszcie tych, którzy poszczą celem zaprotestowania przeciwko czemuś, co uważają za nadużycie lub niesprawiedliwość w stosunku do nich.

Pomiędzy zawodowcami znajdują się tacy, którzy dokonali rewelacyjnych wyczynów, bijąc i pobijając na nowo ten niesamowity rekord! Jeszcze do niedawna nikomu ta dziwaczna myśl nie zaświtała w głowie, by pościć dla sportu. Dopiero w r. 1880, pod pokrywką doświadczenia naukowego, dr. Tauner zrobił zakład na 125 000 franków, że przez 40 dni będzie zupełnie pościł. Zakład ten wzbudził podówczas ogromną sensację. Tauner stał się sławny natychmiast, a zakład wygrał.

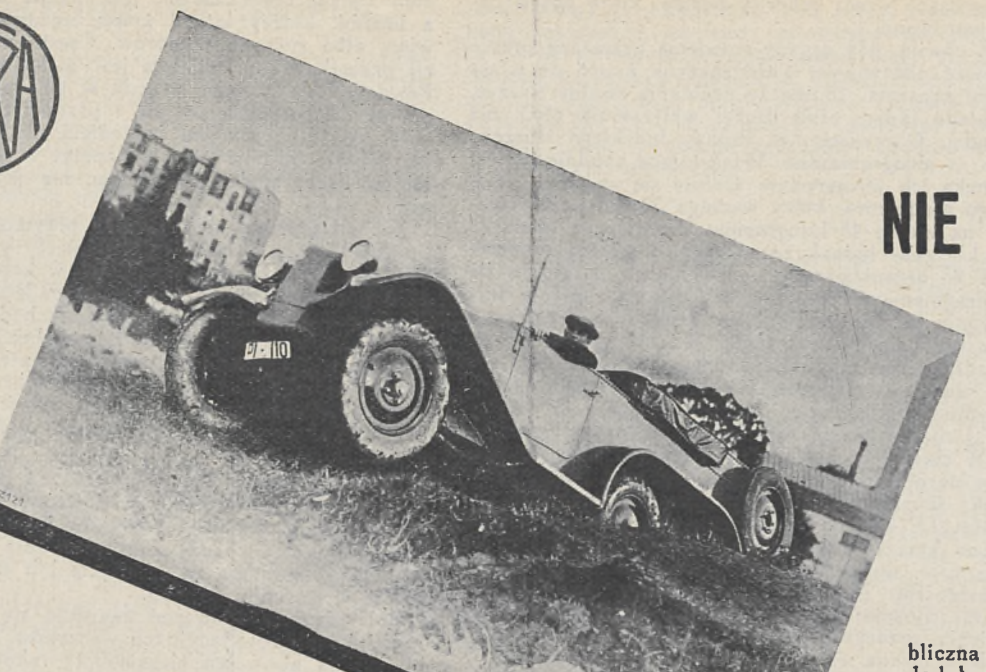
Po nim Merlatti, Succi i Sacco staczali podobne boje wśród olbrzymich również zainteresowania. Przez długi czas Merlatti był rekordzistą z 50-dniowym postem.

Najczęściej zawodowi głodomorzy zamykają się w szklanej klatce, a publiczność za opłatą wstępu przychodzi podziwiać ich przez szyby i sprawdzać zarazem, że nic nie mają wewnątrz, poza kilku najczęściej butelkami wody.

Te pokazy głodówki nieraz kończą się tragicznie. W Paryżu znanym jest wypadek, który się przytrafił takiemu zawodowemu głodomorowi, nazwiskiem Wolly. Swoją szklaną „trumnę" umieścił on w hallu jednego z dzienników parsykich. Po kilku dniach postu, pewnego wieczoru zjawiło się kilku podpitych żartowników, którzy na oczach jego poczęli się raczyć różnymi smakołykami. Wolly dostał ataku nerwowego i rozbił swoją klatkę.

(Dokończenie na str. 15)

NIE CZCZE SŁOWA TATRA LECZ FAKTY...





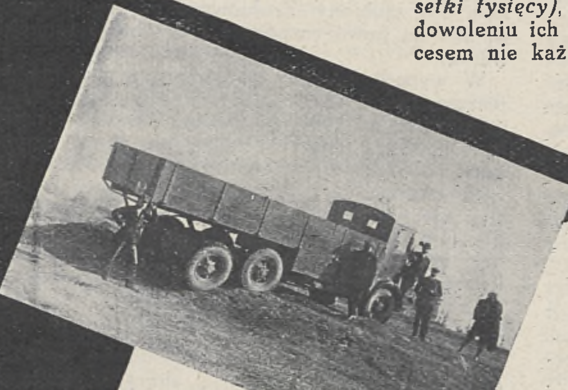
Przed kilku laty cały szereg marek automobilowych reklamował swe wozy jako: „zdobywcy polskich dróg", lub „idealne na polskie drogi" i t. d. Jedne z tych marek zupełnie znikły z horyzontu, inne zaś przestały używać tytułu „zdobywców", gdyż praktyka temu przeczyła. Samochody „Tatra" nie posiłkcwały się nigdy tego rodzaju humbugiem reklamowym, za to opinja publiczna sama im przydomek idealnych dodała. Praktyka właśnie wykazała i to praktyka 6-letnia, że samochody „Tatra" są bodaj że najbardziej dostosowane do naszych, wciąż jeszcze wiele pozostawiających do życzenia dróg. Jest faktem, że są w Polsce samochody „Tatra", które przeszły już setki tysięcy kilometrów *(wyraźnie setki tysięcy)*, a wciąż chodzą ku zadowoleniu ich posiadaczy. Takim sukcesem nie każdy może się pochwalić.

Niejeden zapyta: czemu to przypisać? Odpowiedź jasna: samochody „Tatra" budowane są trwale i solidnie. Tu niema żadnej tandety. Łamane osie, na najgorszej nawet drodze, zapobiegają wstrząśnieniom, chroniąc pasażerów, karoserję i podwozia. Motor samochodów „Tatra" jest bardzo prostej konstrukcji i prostota jego jest siłą: tu niema się co psuć.

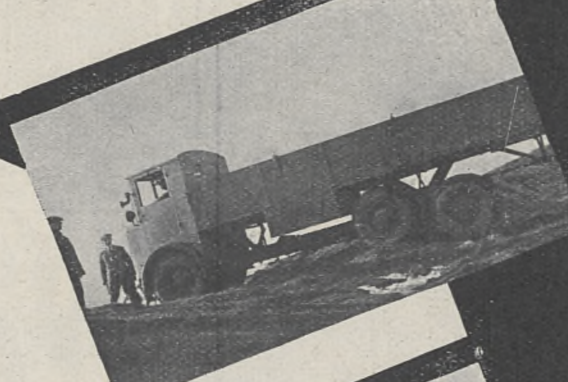
Wypuszczono w Pokrzywnicy nowy model samochodu chłodzonego powietrzem a mianowicie model czterocylindrowy. Wozy te brały udział we wszystkich imprezach sportowych oraz raidach i zdobywały zawsze I-e nagrody, budząc podziw sprawnością motoru i niebywale trwałą konstrukcją. Znamiennym jest fakt, że na Wyścigu Tatrzańskim jesienią 1928 r. p. Vermirowsky na czterocylindrowej właśnie „Tatrze" w ciężkim górskim terenie uzyskał lepszy czas (t. j. jechał prędzej) od wszystkich prawie wielkich sześciocylindrowych wozów. Fakt najbardziej miarodajne. O powodzeniu tych wozów, posiadających dzisiaj obok d ałego motoru, piękną, wytworną i wygodną karoserję, świadczy to, że właśnie te by w pierwszym roku po wypuszczeniu modelu, zyskały fabryce tyle zamówień, rzeba było blisko trzy miesiące czekać, aby wóz taki otrzymać.



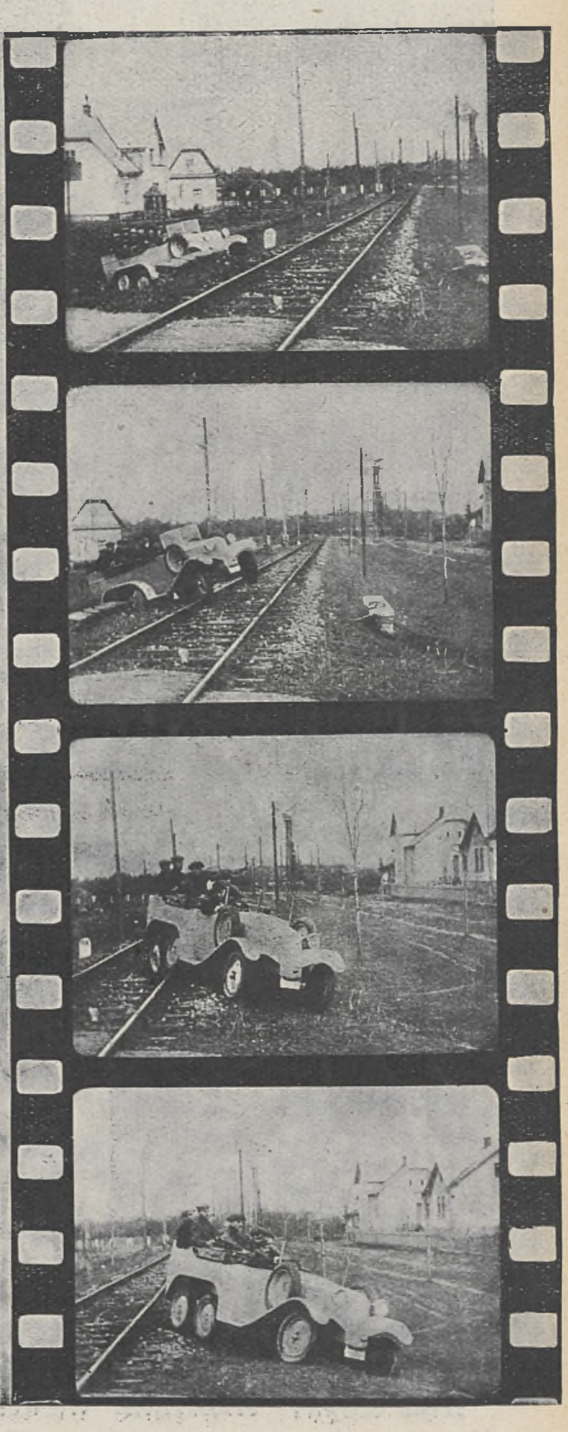










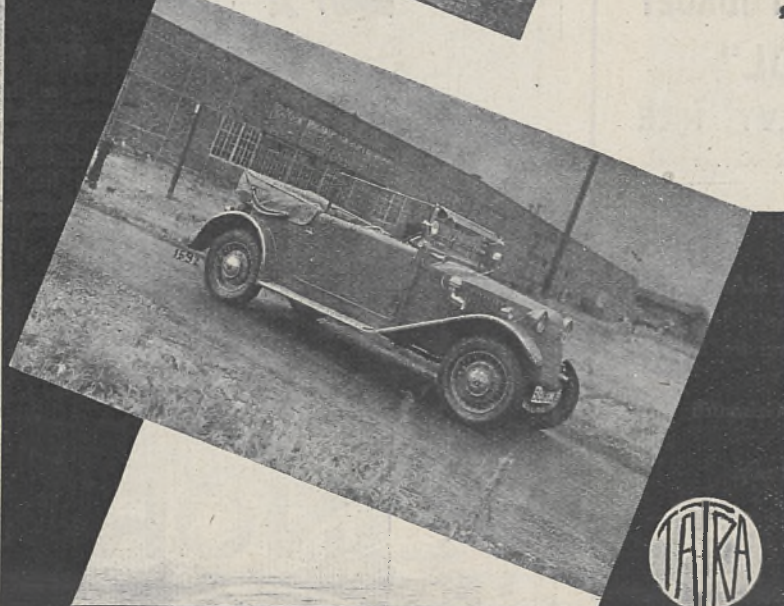


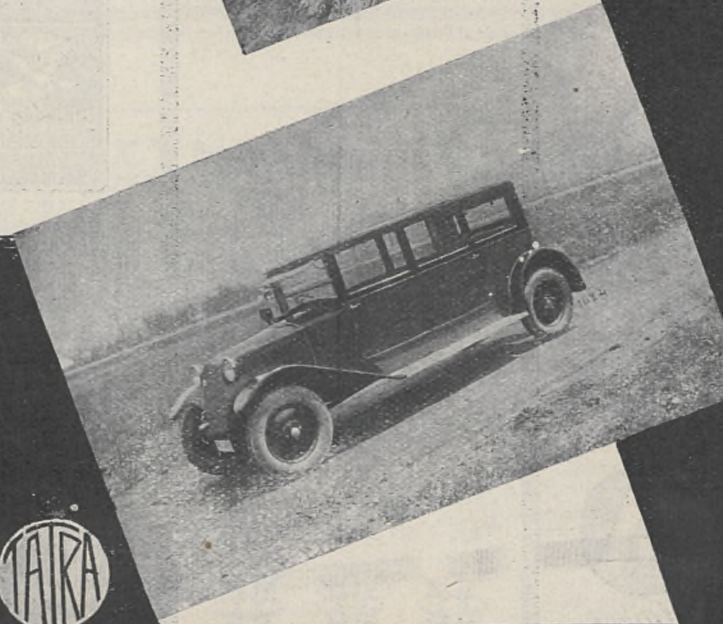
Fabryka samochodów „Tatra", wadząjąc stale ulepszenia do swoich wozów, nie wypuszcza jednak co roku nowego delu, lecz przygotowuje go starannie, powoli i nieraz kilka lat. Gdy jednak ukaże nowy model, to śmiało rzec można, że jest on doskonały. Takim właśnie jest ostatnio ez fabrykę „Tatra" wypuszczony model wozu ciężarowego o 3 osiach łamanych, z em na 4 tylne koła (nie na 2, jak u innych wozów). Te 6-kołowe samochody po ją wielką siłę i potrafią dźwigać ciężar do 6 tonn, rozwijając przytem szybkość im. na godzinę. Największą jednak zaletą tych wozów jest pokonywanie najgorsz nawet terenów, to też gdy chodzi o przewóz przedmiotów, mogących uledz rozbiciu uszkodzeniu z powodu wstrząśnień, 6-kołowe ciężarówki „Tatra" są niezastąpione, dzięki swym 6-ciu kołom i łamanym osiom, przechodzą wszędzie, jak czołgi — ela e i bez żadnych wstrząsów. Zagranicą widzimy dużo tych wozów, przewożących drog ble, szkło, porcelanę i t. p. Największe jednak zastosowanie mają jako autobusy. Nic dziwnego: solidnie zbudowane, zużywają bardzo mało benzyny i smarów, a więc sie w eksploatacji, doskonale chodzą po najgorszych nawet drogach (nie szosach) najdłuższa chociażby jazda nie męczy wcale. W naszych stosunkach, gdzie na zły gach kursują złe autobusy, trzęsąc biednemi pasażerami, 6-kołowe autobusy „Tatra ybko uzyskają „prawo obywatelstwa", wprowadzając nareszcie tak upragnioną — dną, bezpieczną podróż.

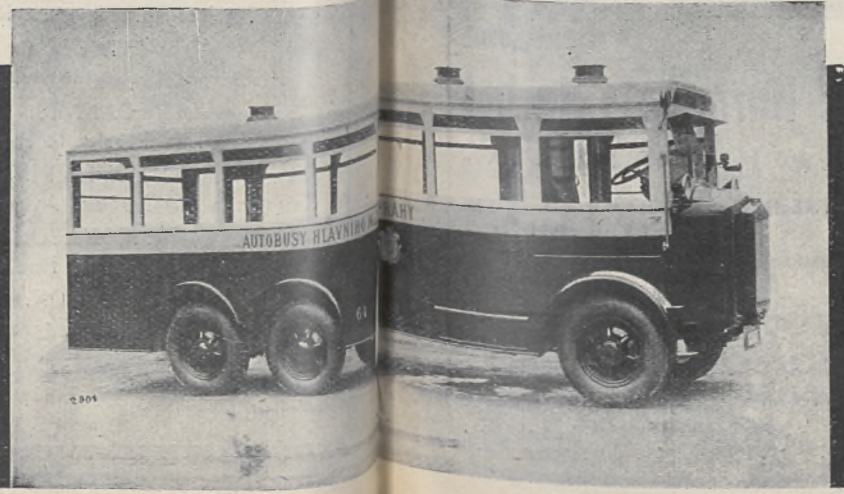
„TATRA - AUTO" WARSZAWA

Dyrekcja i biuro: Cze kowska 205. Tel. 292-42.

Salon Wystawowy: Al. ozolimskie 14. Tel. 409-22.







Ostatni model auto sześciokołowego marki „Tatra".

Czy wiecie że...

...pierwsza gazeta na świecie ukazała się w Chinach w 8 wieku przed N. Chr. Nazywała się „King-Pao" (Goniec stolicy) i wychodziła do roku 1912, kiedy Chiny przekształcone zostały na republikę. Nosiła charakter monitora rządowego. Najstarszą gazetą w Europie była ukazująca się w Rzymie starożytnym „Acta diurna" (Wypadki dnia).

✱

...w Helladzie było także wielu przeciwników sportu. Dramaturg Eurypides nazywa sportowców z pogardą „pospólstwem". Arystoteles w swej „Polityce" twierdzi, że sportowcy umierają bardzo młodo bez poważnej przyczyny. Słynny dowódca grecki Filofeno uważa, że sportowiec jest złym żołnierzem, gdyż sportowiec musi prowadzić bardzo regularny tryb życia i tylko w określonym czasie jest gotów do wysiłków sportowych, podczas gdy żołnierz musi być zawsze gotów do wysiłków.

✱

...w kopalniach djamentów w Afryce Południowej każdy robotnik zostaje po odejściu z pracy poddany badaniu rentgenologicznemu, dla stwierdzenia, czy nie połknął on djamentów.

✱

...wieżę Eiffla odwiedza rokrocznie 60.000 osób. Reklama świetlna Citroena na wieży składa się z miljona lampek.

✱

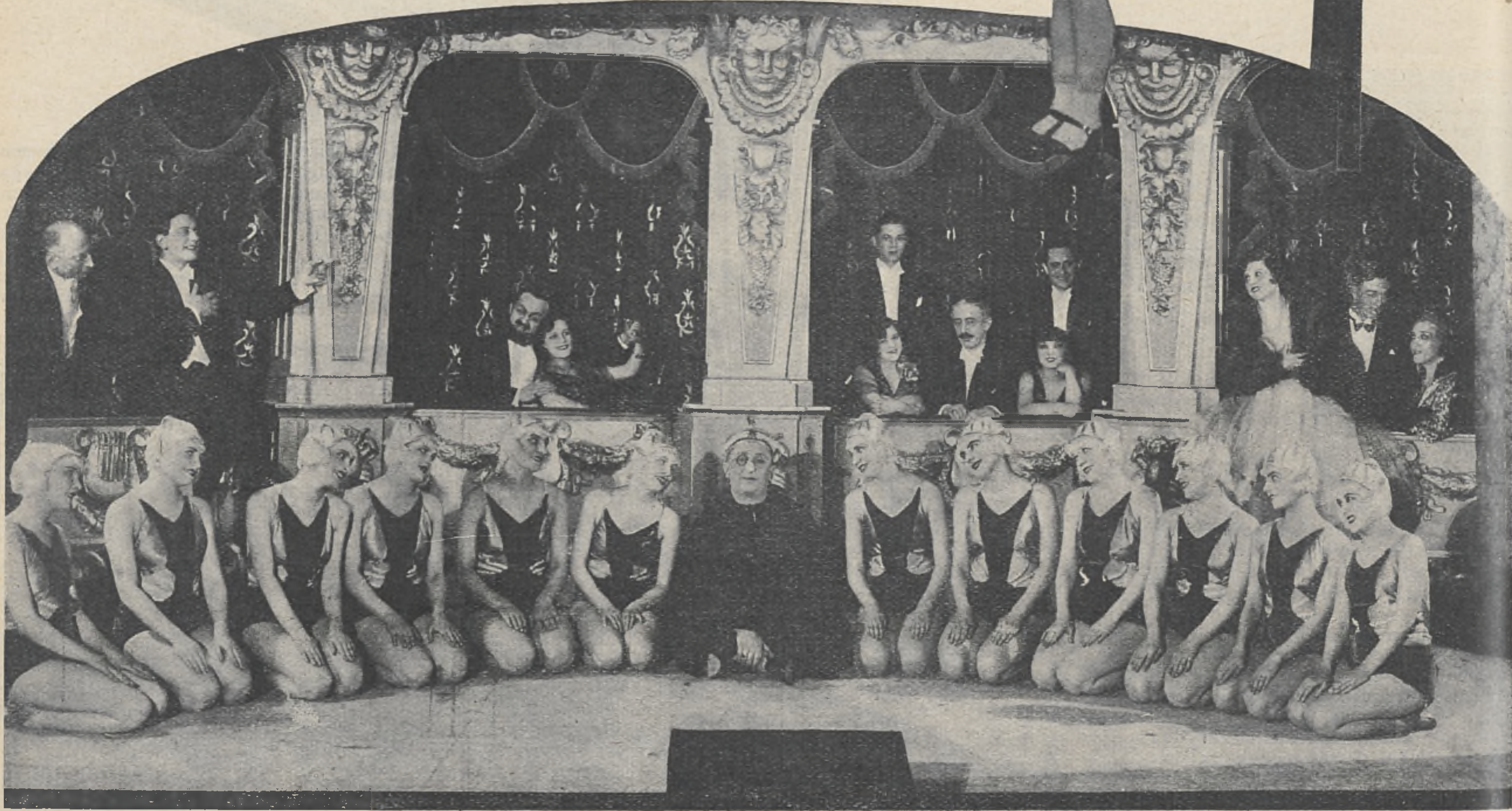
...długość wszystkich kiszek człowieka równa się jego siedmiokrotnej wysokości. U jaroszów kiszki są o jedną piątą dłuższe niż u ludzi „mięsożernych". Długość kiszek noworodka wynosi 4 metry, człowieka dorosłego — 10 metrów. Zgórą jedną trzecią częś kiszek można usunąć bez szkody dla zdrowia.

✱

...wyraz „nikotyna" pochodzi od odkrywcy rośliny tytuniowej Jean'a Nicot.

Z TEATRU QUI-PRO-QUO





Teatr Qui-Pro-Quo wystąpił niedawno z ostatnią swoją rewją p. t. „Maj za pasem". Rewja ta, jak wogóle wszystkie rewje tego nadwyraz sympatycznego teatrzyku, cieszy się stałem i zasłużonem powodzeniem, przyczem cały zespół, wraz z rozkoszną Zulą Pogorzelską na czele, święci prawdziwe triumfy. *(fot. Brzozowski).*

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

PIELĘGNOWANIE TWARZY: Panie, dbające o swoją cerę i pragnące zachować świeżość i urok młodości, stosują stale *„Krem Abarid"*, który przygotowuje się na miodzie i wyciągu lilji białej (Lilium Candidum). *Krem Abarid*, stosowany na noc i pod puder, usuwa zmarszczki, zapobiega tworzeniu się nowych i nadaje twarzy świeży, młodzieńczy wygląd. Do mycia, zamiast mydła stosować *Otrąbki Abaridowe*, które doskonale oczyszczają pory skóry. Co do pudru, to tłustych pudrów stale używać nie radzę, gdyż zasklepiają pory skóry, przeszkadzają transpiracji i sprzyjają tworzeniu się tak zwanej tłustej cery i wągrów. Do stałego użytku polecam jedynie nietłusty *Puder Abarid*.

ZAPOBIEGANIE OPALENIU SIĘ I UTRZYMANIE CZYSTEJ GŁADKIEJ CERY: Aby zapobiedz tworzeniu się pryszczy i plam oraz nierównomiernemu opalaniu się, radzę twarz wycierać parę razy dziennie watą, zwilżoną we *Wschodnim płynie Mimoza*, który doskonale odświeża cerę i czyni ją czystą i gładką.

OPALANIE SIĘ: Dla chcących się szybko i ładnie opalić, polecam *Włoski olejek orzechowy*, którym lekko natrzeć skórę i zostać 1—2 godziny na słońcu, a po 2-ch—3-ch takich zabiegach twarz będzie równo i ładnie opalona.

PIEGI: Aby wygubić piegi, radze stosować *„Krem Precioza"* na noc i lekko przypudrować pyłkiem *Juvenia Candida*. Wśród dnia 2—3 razy wytrzeć twarz *płynem Mimoza*. Rano zmyć twarz dobrze ciepłą wodą z *Otrąbkami Abaridowemi*.

SUCHA CERA: Przy suchej, łuszczącej się cerze radzę na noc stosować tłusty krem *Neutre*, przygotowany na mitinie, i przypudrować *pudrem Abarid*. Rano zmyć twarz ciepłą wodą i *otrąbkami Abarid*.

POT: Aby usunąć nadmierne pocenie się i przykry zapach, radzę miejsca podlegające poceniu nacierać *płynem Eureka* i przypudrować *proszkiem Eureka*.

ZĘBY: Wiele Pań, szczególniej, które palą, ma żółte zęby. Aby je wybielić i utrzymać czyste, białe (bez kamienia) polecam do mycia wybielający *proszek Albol*, który rozpuszcza osad i wybiela, a jednocześnie konserwuje i daje świeży, miły zapach w ustach. Jako eliksir do stałego użytku, nadaje się najlepiej *„Anidol"*. Przy stosowaniu proszku *Albol* zęby będą zawsze białe i palenie papierosów nie będzie wywierać na nie ujemnego wpływu.

RĘCE: Lepszego środka do rąk, jak *Krem Prałatów* nie ma. Najbardziej zniszczone ręce przy gospodarskich zajęciach, a nawet kuchennych, będą zawsze gładkie i białe, jeżeli po umyciu i wytarciu, wetrzeć w wilgotne jeszcze ręce cokolwiek *Kremu Prałatów*. *Krem Prałatów* wciera się do sucha, tak że można go stosować i w dzień.

PRZYCIEMNIANIE BRWI: Aby brwi przyciemnić trwale, radzę stosować *„Excelsior do brwi"*, który nie zmywa się i wystarczy na czas dłuższy.

M-m ERCEDES.

P. S. Wszystkie wymienione tu kosmetyki, nabywać można we wszystkich pierwszorzędnych składach aptecznych i Perfumerjach. *Skład Główny:* Perfumerja „Perfection" w Warszawie, Szpitalna 10 i Marszałkowska 85.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
JERZY RADLICZ.

W ZAPASACH Z GŁODEM

(Dokończenie ze str. 11)

W sierpniu roku zeszłego dwaj rekordziści postni — Sacci i Billy Broun, stoczyli ze sobą największy z dotychczas znanych meczów tego rodzaju. W jednym i tym samym dniu, jeden w Cardiff, drugi w Blackjeol w Anglji, zamknęli się w klatkach. Przez dwa miesiące trzymali się obaj mocno, i niewiadomo było, który z nich zwycięży. Sacco palił bez przerwy, podczas gdy jego współzawodnik puszczał ciągle w ruch gramofon. 63-go dnia Broun nie wytrzymał i poddał się. Sacco pozostał jeszcze 48 godzin w swojej klatce, bijąc w ten sposób wszystkie dotychczasowe rekordy 65-dniowym postem. Organizm jego był jednak wyczerpany tak dalece, że już nie wrócił on do sił i zmarł przed kilku miesiącami.

Uprawiają dalej długie posty różni mistycy, fakirzy i fanatycy, głównie w Indjach, oddając się zupełnej abstynencji. Wreszcie uciekają się do tego procederu więźniowie, protestując przeciw czemuś lub pragnąc coś wymusić. Najbardziej znanym jest strajk głodowy Mac Swineya, burmistrza irlandzkiego miasta Cork. Uwięziony przed ośmiu laty przez władze angielskie, za działalność rewolucyjną, rozpoczął głodówkę, od której nie potrafiły go odwieść ni groźby sędziów, ni błagania jego przyjaciół. Przez przeszło dwa miesiące świat cały był świadkiem jego heroicznej agonji. U wrót więzienia fanatyczna ludność na kolanach modliła się o swego męczennika. Podtrzymywany przez nadludzką siłę ducha, prawie nadprzyrodzoną, Mac Swiney doprowadził wytrzymałość ludzką do nieprawdopodobnych wprost granic, umierając dopiero 73-go dnia straszliwego postu!

K.

KŁOPOT WUJA BENEDYKTA

(Dokończenie ze str. 4-ej.)

— Wielopolskim, — poprawił ze zgorszeniem wuj Benedykt. — Nie mogę słuchać jak ktoś kaleczy rodzinne nazwiska. Zwłaszcza że Wielopolscy to taka znana polska rodzina.

— A Wielikowscy też — odezwał się z końca stołu urażony falcet. (Panna Kordula bowiem pochodziła ze szlachetnego rodu Wielikowskich, o czem obecni powinni byli oczywiście wiedzieć, ale im się to jakoś „wypsnęło" z pamięci).

Śmiechu było wtedy co niemiara!...

Innym znów razem, kiedy mowa była o niebezpieczeństwie szerzącego się bolszewizmu, panna Kordula wystąpiła z genjalnym projektem, że „wszyscy powinni tam pójść którejś nocy i tych bolszewików wydusić". Kto mieli być ci „wszyscy" i pod jaką szerokością geograficzną mieści się owe tajemnicze „tam", Kordula sprecyzować nie chciała. Powtarzała tylko z uporem:

— No wszyscy... no tam, gdzie oni są... — I aż łzy miała w oczach z żalu, że jej plan strategiczny z tak słabem spotyka się uznaniem.

Nic więc dziwnego, że wuj, przy którymś obiedzie, wmówił Korduli, że w Rabce, dokąd miała na lato wyjechać wujenka z dziećmi, nie bywa nigdy deszczów.

— Dlaczego?

— Bo całe uzdrowisko jest pokryte olbrzymim dachem brezentowym, dającym się składać w dni słoneczne jak pudło przy powozie.

Kordula uwierzyła naturalnie i nie mogła się temu nadziwić.

— Czego to ludzie nie wymyślą?!...

Kiedy jej wreszcie ciocia Kaziunia, jak mogła najogledniej wytłómaczyła, że padła ofiarą dobrego humoru wujaszka, bona obraziła się śmiertelnie i nie chciała nazajutrz zasiąść do wspólnego obiadu. W podobnych wypadkach ruszał wuj Benedykt, na prośbę żony, do panny Korduli w przeprosiny, okraszone jakiś, nie nazbyt znowu wybrednym komplementem, jak naprzykład: — No, no, panno Kordulo, nie gniewajmy się... Gniew wszak piękności szkodzi...

I całował powietrze w pobliżu mankieta obrażonej dziewicy.

— Bo pan to zawsze... — mówiła z łagodnym wyrzutem Kordula, rozkwitając jak piwonja rumieńcem zażenowania, i wybaczała wspaniałomyślnie. Zamęt, panujący niestety w pojeciach zacnego panniska, stał się przyczyną, dla której wujowstwo musieli mimo mnogich zalet Korduli, zrezygnować z jej dalszych usług. Dwoje starszych dzieci miało jesienią pójść do szkół, więc niezbędny był w domu ktoś, ktoby mógł im kompetentnie dopomóc w odrabianiu lekcji. Wiedza Korduli, nawet w zakresie czterech działań arytmetycznych, była wielce problematyczna. Rozstanie, ku obopólnemu żalowi, nastąpiło jeszcze wiosną; gdyż dla poratowania zdrowia najmłodszego synka wujenka wyjeżdżała do owej, krytej brezentem Rabki, gdzie utrzymanie Korduli wypadłoby zbyt kosztownie. Świadectwo oczywiście otrzymała Kordula jaknajlepsze; łzom i uściskom przy pożegnaniu nie było końca. Bona upewniała, że póki życia nie zapomni swoich kochanych pupilów i obiecała odwiedzać dom wujowstwa, ile razy będzie w Wilnie; obecnie bowiem zdarzała jej się dobra posada na wieś.

Jednakże minęło zaledwie parę tygodni od wyjazdu wujenki, kiedy pan Benedykt wracając markotny do pustego domu, ku swemu wielkiemu zdziwieniu spotkał przy drzwiach dzwoniącą Kordulę. Swoim zwyczajem spłonęła na jego widok i jąkając się zaczęła opowiadać długą historję o tem, jak i dlaczego nie powiodło jej się na nowej posadzie... i że zaszła, aby się dowiedzieć czegoś o pani i o dzieciaczkach... i poradzić się wogóle. Rad nie rad zaprosił wuj babę do gabinetu i poczęstował herbatą. Miał nadzieję, że nie będzie siedziała długo, gdyż aby zwalczyć nudę samotnych wieczorów, podjął się był nadetatowej roboty. Honorarjum za tę pracę miało mu umożliwić spędzenie urlopu razem z żoną i dziećmi. To też zerkał ukradkiem to na biurko, to na gościa, to na zegarek. Rozmowa nie kleiła się, wuj nie robił najlżejszego wysiłku, aby ją podtrzymać. Jednak Kordula bynajmniej nie zdawała się spieszyć z wyjściem. Zamiast na fotelu, podsuniętym jej przez gospodarza, rozsiadła się tuż przy nim na kanapie, spoglądała tęsknemi oczyma i wzdychała żałośnie.

— Może biedaczka jest bez pieniędzy, — pomyślał litościwie wuj Benedykt i zaproponował pożyczkę dwudziestu złotych.

Przyjęła, ceremonjując się wśród dygów, protestów, łzawych uśmiechów i rzewnych podziękowań. Ale wcale nie wychodziła. Wuj milczał, nie kryjąc już zniecierpliwienia. Naraz Kordula zerwała się z kanapy i stając przy biurku zaczęła coś gorączkowo kreślić. Poczem podała to pismo wujowi i usiadła jeszcze bliżej. Wuj wziął papier do ręki...

— Pewnie jej chodzi o grubszą pożyczkę i wstydzi się wymówić sumę — pomyślał dobrodusznie.

Lecz pierwsze już słowa listu dowiodły, jak dalece był w błędzie. Oto bowiem, co wyczytał:

„Wielmożny Panie! Chyba Pan zauważył moje spojrzenia namiętne, ja więc prosto z mostu oświadczam, że chciałabym bardzo, chociaż kilka razy, należeć do Pana. Nie chodzi mnie o jakiś flirt, bo za bardzo szanuję i kocham panią Dyrdzinę, która była dla mnie lepszą od matki rodzonej, ani znowuż za pieniądze, bo zanadto pan zna moje uczciwe serce... A tylko chodzi o oddanie się namiętnej kobiety człowiekowi zacnemu i czystemu: bo nie sądzę o żonatym, ażeby nie miał być czystym. A teraz polecam się pamięci pańskiej. Sądzę, że mnie Pan zrozumie i nie potępi i wyznaczy, kiedy będę mogła zastać pana samego, tak, żeby nikt nie przeszkodził...

Biedny wujaszek osłupiał, litery listu i meble gabinetu zawirowały mu naraz przed czyma. A Kordula siedziała wyczekująco na kanapie i wzdychała. Teraz już wiedział, że miały to być westchnienia namiętne.

— Co tu począć?... Mój Boże, co począć? Kobieta w podobnej sytuacji pokazałaby mężczyźnie drzwi, ale mężczyzna kobiecie?... Djabli nadali podobną sytuację!... Djabli nadali babę! Wyrzucić jej za drzwi nie można, choćby się na to miało potężną ochotę... Więc co zrobić z tym faktem?...

— Wuj zasapał się z bezsilnej pasji. Musiała to sobie Kordula wytłomaczyć po swojemu, bo westchnęła głośniej i czulej i przytuliła się do jego ramienia. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Już miał wujaszek, odrzucając wszelkie rycerskie względy, zakląć głośno do stu djabłów, kiedy naraz rozległ się dzwonek wybawiciel, a zaraz po nim rubaszny głos kolegi bankowego, który zabrzmiał w uszach pana Dyrdy melodyjniej, niż anielskie pienia.

— Nie może pani tu dłużej pozostać, — zwrócił sie energicznie do swei Putyfary, — skompromitowałoby to i panią i mnie.

I pomyśleć, że przed godzina wujowi przez myślby nawet nie przeszło, że obecność Korduli w jego gabinecie mogłaby się komukolwiek wydać kompromitującą.

— Czekam... — szepnęła, odchodząc pośpiesznie Kordula.

Ale wuj już witał otwartemi ramiony gościa, przychodzącego tak bardzo w porę.

Kłopotliwa sprawa była narazie odłożona, lecz bynajmniej nie załatwiona. Trudno było przypuszczać, że „namiętna" Kordula tak łatwo się da uspokoić. Więc zrobił wujaszek rzecz, dająca się pomyśleć tylko w Wilnie: tegoż samego wieczora udał się po radę do swojej matki. Ciocia Dyrdzina, którą w dzieciństwie przywykłam nazywać „ciocia - babcia" jest to śliczna staruszeczka, bardzo dobra, bardzo miła i rozumna. Choć rzadko opuszcza swe mieszkanko i to tylko po to, by się udać do kościoła, chętnie czytuje nowych autorów, zachowała żywy umysł i w sprawach tego świata sad jasny i zdrowy. Pełna jest pobłażliwości dla słabości i ułomności ludzkich. Synowi poradziła jak sam Salomon.

— Przedewszystkiem powinieneś natychmiast o wszystkiem napisać do żony. — powiedziała stanowczo. — W Wilnie lubią plotki, a nie dobrzeby było, gdyby jakieś wiadomości o tej przykrej sprawie mogły dojść Kaziunię ze strony. Mogłoby to raz na zawsze podkopać jej dotąd niewzruszone zaufanie do ciebie; a co do tej panny, to trzeba się postarać, aby ciebie nigdy już nie zastała w domu, przynajmniej samego.

Dobry syn zastosował się do woli matczynej. Napisał nazajutrz długi, wyczerpujący list do żony, opisując jej z humorem całe zajście. Zgodnie z przewidywaniami „Cioci - Babci". Kordula zgłosiła się niebawem, pod pretekstem prośby o nowe świadectwo, z dokładniejszem wyszczególnieniem jej mnogich zalet. Wuj przyjął ja w obecności służącej, która miała formalny rozkaz nieruszania się z miejsca, dopóki świadectwo nie zostanie napisane i wręczone. Kordula mimo to nie dała za wygrane i czatowała co rano na wyjście starszej pani Dyrdziny z kościoła. Poczem kornie ujmowała staruszkę pod łokieć i odprowadzała do domu, opowiadając po drodze jak bardzo jest oddana całemu domowi Dyrdów, i jak bardzoby pragnęła choć w części, moc zastąpić panu Dyr[illegible] ciepło rodzinne, którego jest w lecie pozbawiony, i opromienić jego samotność. Aż wreszcie łagodna stara dama zirytowała się i palnęła egzaltowanej pannicy ostre verba veritatis, na temat moralności powojennej, niezdrowych pojęć, rozwydrzenia erotycznego i t. p.

Kordula rozpłakała się jak bóbr i całując staruszkę po rękach przyrzekła solennie poprawę. Pani Dyrdzina niezadowoliła się obietnicą, lecz wymogła natychmiastowy wyjazd Korduli do jednej ze swoich krewnych, wdowy z sześciorgiem dzieci, polecając jej listownie jaknajsybsze wysw[illegible] tanie namiętnej bony za niestarego ekonoma! Do piero gdy wyjazd ów stał się faktem dokonanym staruszka odetchnęła. Odetchnął wraz z nią i wuj Benedykt i z zdwojonym zapałem zabrał się do odrabiania zaległych „kawałków".

Ostatnio, w drodze do Rabki, zatrzymał się wuj Benedykt w Warszawie i będąc u nas, między innemi, opowiedział nam o swojej, niespodziewanej konkiecie. Setnieśmy się uśmieli. I mama i ja, najbardziej zaś wujaszek. Bo też nikt nie potrafi opowiadać kawałów tak, jak on, z takim dobrodusznym kresowym humorem. Ale ta ostatnia, autobiograficzna anegdota przewyższyła wszystko cośmy dotąd od niego słyszały. Rozważaliśmy wszechstronnie przedziwny tekst listu, komentując niebywałą skromność wymagań: „Chociaż kilka razy". Zastanawialiśmy się nad tem co właściwie Kordula rozumiała w tym wypadku pod słowem „flirt" i pod „czysty". Bo nie przypuszczaliśmy, aby posądzała ojca trojga dzieci o niewinność. Tarzaliśmy się niemal ze śmiechu.

A kiedy wuj wyszedł i zastanowiłam się nad tem wydarzeniem, już mi się śmiać niechciało. Bo pomyślałam, jak bardzo smutne i ubogie musiało być życie tej biednej bony, jeżeli najśmielsze jej marzenie przybrało taką formę.

Biedna Kordula!...

PAN ZŁODZIEJ

(Dokończenie ze str. 8-ej).

Kraść — to kraść, ale z sensem. Moja rzecz: biżuterje, portfele, ma się tam rozumieć pełne, ostatecznie srebrna — nie taka tam — papierośnica, grunt zaś — portfele. Już palta — to nie moja rzecz. Z rzeczy domowych — to cheba srebra, sztychy, słowem — tęsknimy do *kosztowniościów.*

Zerknęłem okiem na Romana, Roman spojrzał na złodzieja, ten zaś przejechał wszystko widzącem okiem po moich sztychach, srebrnym przycisku na biurku i złotym zegarku, leżącym na stoliku pod oknem. Poczem mówił dalej:

— No tak. *Bierze się* po chamsku, dla zarobku, dla życia, nie dla jakichś tam paskudnych fanaberji. Tymczasem pan wyjął tę papierośnicę — i tfu — spodobała mi się. Rzecz ładna, można powiedzieć miła, choć *potrzymana.* No i wziąłem; nie na handel, nie dla pinionchów, *lecz* dla siebie. Na osobisty — że tak powiem — tam użytek. No i wieczorem mówię sobie: to jakżeż to, kochasiu? estetykę wprowadzasz do fachu? w amatora-inteligenta się bawisz? że się skórka *wenecjańska* podobała, to zaraz musisz ją ukraść? smarkula, kochasiu, za grosz żebracki już nie masz! Bo, proszę panów, jak kraść — to kraść zawodowo! porządnie! jawnie! i kraść to, co ludzie pilnują, nie to, co kochają! kraść — aby żyć! oto moja — że tak powiem — dewiza. Z tą papierośnicą — djabli ją nadali — pierwszy raz taki wstyd! Ja tam, proszę panów, grube majątki kradłem, a wstyd to dopiero pierwszy raz. Może z nieprzyzwyczajenia... Ale już więcej szlus: dla samego podobania się, jak tu stoję, żadnej rzeczy po inteligencku nie ukradnę! Amen! Chcę mieć swój honor, za co przepraszam stokrotnie i więcej.

— A ładna, szelma — rzekł z żalem. Odchodząc spojrzał na papierośnicę, potem na zegarek.

— Z przeproszeniem szanownych panów.

Drzwi zamknęły się.

— *Zmęczyliście* mnie swojemi lekcjami — rzekłem Romanowi. Jeden od sasa, drugi do lasa. Chciałbym wiedzieć, kto z was ma rację? może obaj?

Papierośnica leżała na stole.

— I co z tym fantem zrobić?

— Powinieneś był go prosić, żeby ją sobie zatrzymał — odrzekł Roman. — Jest ładna — istotnie! Czekajże: *mieliście ją wy,* teraz ja się nacieszę tym cackiem. Oto mój sąd.

Wychodziliśmy.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (14)

Strzeszczenie poprzednich rozdziałów:

W Nizzy odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Dzięki pomocy Granta Slattery, Stany Zjednoczone zostają zaproszone do udziału w pracach Kongresu. Grant udaje się własnym yachtem w podróż do Ameryki. Na drugi dzień, po odpłynięciu z Monte Carlo, spotyka na pokładzie księżnę von Dirs, byłą swoją narzeczoną, która, potajemnie, chciała uciec przed mężem do Ameryki. Rad nierad Grant wiezie księżnę do New-Yorku.

— Słucham — zapraszał Grant.

Trzej mężczyźni spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, rzadkiem u dziennikarzy. Tymczasem Grant postawił na stole pudełko cygar i usiadł w fotelu.

— Krążyły jakieś pogłoski o... o czemś w rodzaju romantycznego porwania — wykrztusił ze siebie Tarletan.

— Rzeczywiście? Nie słyszałem o niczem podobnem. Cóż to za porwanie. — pytał Grant.

— Porwanie kobiety — odetchnął Booker z ulgą. — Porwanie kobiety z Monte Carlo...

— Cóż pan mówi? jakie jest jej nazwisko — pytał dalej Grant.

— Księżna von Dirs.

Grant spojrzał uważnie na swego rozmówcę.

— Czy księżna von Dirs miała być pasażerką na swoim yachcie? — zapytał.

— Tak opowiadano — przyznał Tarletan.

— Ja mam osobiście wrażenie, że wkradła się ona tam bez pana wiedzy, i że zauważył pan jej obecność dopiero podczas podróży — dorzucił Havers.

— Prześliczny romans — wyszeptała panna Phoebe.

Grant uśmiechał się niedbale.

— Możecie upewnić publiczność New Yorku, że nic podobnego nie miało miejsca. Jeżeli chodzi o księżnę von Dirs to spotkałem ją podczas mego ostatniego wieczoru w Monte-Carlo, na wielkim obiedzie, wydanym przez Korneljusza Blunna, znanego multimiljonera. Zaprosił on oczywiście i jej męża, lorda Yeovil, króla Gotlandji i t. d. Od tego wieczoru nie mogłem już widzieć księżnej i nic też o niej nie słyszałem.

Ołówki i wieczne pióra rozpoczęły swą pracę.

— Można więc będzie oznajmić, że historja porwania to czysty bluff? — pytał Tarletan.

— Absolutny. Po trzech dniach naszej podróży znaleźliśmy na statku wielkiego, czarnego kota. To było jedyne mi wiadome wykradzenie.

— Dziękujemy ślicznie — oświadczył Havers.— Czy może pan jednakże powiedzieć nam coś o konferencji w Nizzy i zaproszeniu, przesłanemu Ameryce?

— Bywałem wówczas dosyć często w Monte-Carlo — odrzekł Grant — i miałem zaszczyt dosyć częstego obcowania z lordem Yeovil. Jest to najwybitniejszy mąż stanu naszej epoki i jemu właśnie zawdzięcza Ameryka fakt, zaproszenia do międzynarodowego traktatu. Teraz zależy wszystko od rozsądku politycznego naszych obywateli.

— Ameryka dotychczas bardzo właśnie rozsądnie trzymała się zdala od polityki europejskiej — zauważył Tarletan.

— Jest potężna właśnie przez swoje odosobnienie — objaśniał Havers.

— To wszystko należy dzisiaj do przeszłości — odpowiedział Grant poważnie. — Musimy myśleć o przyszłości, gdyż czasy i warunki ulegają zmianie. Należy również pamiętać o klauzuli, niewykluczającej wojny przeciw państwom, nieobjętym traktatem.

— Nie sądzi pan chyba, że jakikolwiek naród odważyłby się zaatakować w chwili obecnej Amerykę — zapytał Booker po chwili milczenia.

— Nie powiedziałem tego, lecz nie jest to w zasadzie tak niemożliwe, jak się panom wydaje. Jesteśmy istotnie bardzo bogatem i zasobnem państwem, lecz dotrzymujemy wiernie umowy rozbrojeniowej i nie jesteśmy silniejsi na morzu i lądzie od małych i słabych państewek. Jakiekolwiek przymierze przeciw nam może zadać dotkliwy cios naszej potędze.

— A któż odważyłby się wzniecić teraz wojnę? — zauważył Havers z uśmiechem.

— Było dużo takich sceptyków w roku 1914 a mimo to przyszła wielka burza. Zło polega na tym, że krajem naszym rządzą przeważnie ludzie, którzy nigdy nie wyjeżdżali poza granice Stanów Zjednoczonych. Ameryka jest dla nich wszechmogąca. Dla ludzi, znających dobrze stosunki polityki światowej, sprawa przedstawia się inaczej.

Przez cały czas rozmowy posuwały się szybko ołówki po papierze.

Wreszcie odezwał się Jim Havers:

— Dowiedzieliśmy się o wszystkiem znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy. Jednocześnie zaznaczyć muszę, że gotów jestem propagować pana idee w naszem piśmie.

— Owszem, będę rad — odrzekł Grant. — Chciałbym, aby Ameryka przyjęła zaproszenie chętnie, swobodnie i z serdecznością. Wówczas czułbym się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie mogę dzisiaj wytaczać argumentów i szczegółów. Umówiłem się z jednym z wybitniejszych naszych redaktorów. Po przyjeździe mo im z Washingtonu chętnie będę panom służył.

Skłonili się i pożegnali. Pozostała jeszcze panna Phoebe Smiles, która czekała aż zamkną się za niemi drzwi. Była bardzo starannie i elegancko ubrana. Wyglądała trochę wyzywająco i miała bardzo miły uśmiech. Uśmiechała się do Granta.

— Panie Slattery — prosiła — opowie mi pan prawdę o tej romantycznej ucieczce.

— Droga pani — odrzekł — odpowiedziałem przecież już na to pytanie. Cała historyjka była przez kogoś zmyślona.

— Tak się to opowiada innym, ale mnie chyba powie pan prawdę. Dziennikarstwo to dla kobiety trudniejszy zawód niż dla mężczyzny — westchnęła — i przecież nie odmówi mi pan odpowiedzi.

— Nie odmówię pani. Dla tego raz jeszcze powiadam: wykradziona kotka nazywała się Lizzie, miała zielone oczy, piła trzy razy dziennie mleko. To wszystko, co mogę opowiedzieć o tajemniczej historji porwania.

— Takie pan miłe robi wrażenie, a taki pan strasznie uparty.

— Wrażenie jest mylne, proszę pani. Nie jestem miły, jestem nawet bardzo zgryźliwy i podejrzliwy. Zamykam własnoręcznie drzwi na klucz za wychodzącymi.

Nie było rady. Panna Phoebe opuściła apartament Granta. Czekając na windę przeglądała się w lustrze. Nie była przyzwyczajona do odmowy.

— To wszystko przez ten kapelusz — pomyślała ze złością — wstrętny kapelusz. Nie podobał mi się od pierwszej chwili. To ta obrzydliwa Mage mnie do niego namówiła, aby mi zaszkodzić.

ROZDZIAŁ XXIII.

Przed południem jeszcze udał się Grant do redakcji najbardziej rozpowszechnionego i wpływowego dziennika New-Yorku. Pismo to miało własnych korespondentów we wszystkich większych miastach całego świata, a wydawca jego podejmowany był co tydzień w Białym Domu. Redaktor naczelny, Daniel Steneham, był serdecznym przyjacielem Granta i ucieszył się niebywale na jego widok.

— Drogi przyjacielu, jakże się cieszę, że pana widzę — wykrzyknął Steneham. Podobno przebywał pan ostatnio tylko w towarzystwie ministrów i panujących. To ślicznie, że nie zapomniał pan o własnym kraju i o starych znajomych.

— Przyjechałem, aby tu dalej wykonywać mój stary zawód — objaśnił Grant, siadając na fotelu i zapalając cygaro.

— A jakiż pan ma zawód, oprócz zawodu bezczynnego miljonera? — pytał z miłym i życzliwym uśmiechem redaktor.

Grant zorjentował się, że nigdy przedtem nie zwierzał się Stenehamowi ze swych zajęć. Opowiedział mu więc, że od czasu porzucenia służby dyplomatycznej jest tajnym wywiadowcą na rzecz rządu amerykańskiego. Streścił swoją działalność i podróż do Archangielska, wreszcie opowiedział o konferencji w Nizzy i współpracy z premierem angielskim, lordem Yeovil.

— Wynikiem tej współpracy — kończył — jest zaproszenie Stanów Zjednoczonych do międzynarodowego traktatu. Zwyciężyliśmy bitwę z wrogami na terenie konferencji, pozostaje jednakże jeszcze drugie pole walki, tu, na terenie ojczyzny. Jestem przekonany, że nasi przeciwnicy nie omieszkają rozwinąć wielkiej propagandy w duchu separatyzmu amerykańskiego, należy temu przeciwdziałać i rozwinąć kontrpropagandę na rzecz przystąpienia do traktatu. Chciałbym w tej walce zwyciężyć i wciągnąć pana do pracy, Danielu.

Redaktor przez długą chwilę nie mógł ukryć zdumienia i przyglądał się bacznie swemu rozmówcy. Był to człowiek, niewielkiego wzrostu, starannie ogolony. Jego gładko przyczesane włosy przyprószone były z lekka siwizną. Szare oczy wpatrywały się uważnie w twarz Granta. Nazywano go Napoleonem dziennikarzy.

— Kto, wedle pana przypuszczenia, głosował przeciw nam na konferencji? — zapytał po chwili.

— Niemcy, Japonja i Rosja — brzmiała odpowiedź. — Skombinowanie sił niemiecko-japońskich byłoby nawet dla Ameryki pewną już klęską.

— Oczywiście — odpowiedział Steneham. — Tylko zauważyć muszę, że gdybym to wszystko słyszał z innych ust, uważałbym tego kogoś za szaleńca. Czy zebrał pan jakiś materjał dowodowy?

— Tak jest, Dan. Wysłałem go natychmiast po wylądowaniu do Washingtonu. Wiem, że i tak uwierzy mi pan.

— Uwierzę panu bezwzględnie.

— A czy zechce mi pan pomóc? Należy działać na łamach pańskiego pisma natychmiast, zanim jeszcze hydra podniesie głowę.

Steneham milczał. Spoglądał poprzez szerokie okno na drapacze nieba i kominy, obserwował niebieskie wody Hudsonu. Coś ciekawego i smutnego tailo się w jego oczach.

— Przyniósł mi pan pewne nowiny i ja mogę panu powiedzieć coś od siebie, coś, co nikomu prawie nie jest jeszcze wiadome.

— Chciałbym bardzo wiedzieć — prosił Grant.

— Nasza gazeta została wczoraj w nocy sprzedana i nie mamy tu już właściwie żadnej władzy.

— Któż ją kupił? — pytał Grant z niecierpliwością.

— Felix Pottinger.

— A któż stoi za nim?

— Chcieli to utrzymać w tajemnicy, lecz przypadkowo dowiedziałem się. Prawdziwym nabywcą jest Korneljusz Blunn z Berlina.

Grant osłupiał.

— Jakto temu człowiekowi sprzedało się gazetę, reprezentującą jedynie interesy Ameryki? Temu człowiekowi, który przekupił skandynawskiego przedstawiciela na konferencji, aby głosował przeciw zaproszeniu Ameryki? Temu człowiekowi, który podczas wycieczki usiłował zbuntować przeciw mnie moją załogę i wysłał za mną do Monte Carlo szpiega. Oto skutki gościnności amerykańskiej. Pozwala się zakupić największemu wrogowi Ameryki, człowiekowi, nienawidzącemu naszej potęgi, nasze najpoczytniejsze pismo!

— Jest duża doza ironji w tej sytuacji — zauważył Steneham. — Nasz szef po piętnastu latach popróbował nagle emocyj giełdowych, no i stracił około dziesięciu miljonów. To wyjaśni panu powody tranzakcji.

— Widzę, że Dawsen stracił głowę. Muszę natychmiast pójść do niego.

— Będzie pan miał ciężki orzech do zgryzienia. Stał się tak małomówny. Powtarza tylko wciąż jedno zdanie: Ameryka dla Amerykan. Mimo to nie powinien pan wpadać w depresję, Grant. Cóż ja mam powiedzieć? Będę prawdopodobnie za tydzień bez zajęcia.

— Pójdzie pan ze mną na lunch, Dan? — Steneham potrząsł głową. Był nazbyt zdenerwowany i oczekiwał jeszcze wizyty Pottingera. Poprosił Granta na odchodnem o jego adres i obiecał zatelefonować.

Grant poszedł na lunch do swego klubu. Zastał tam dawnych znajomych, z którymi nigdy niewiele miał wspólnego. Zazdrościli mu przeważnie bogactwa i ciągłych podróży. Nawiązywał rozmowy na temat przypuszczalnego przystąpienia Ameryki do traktatu. Spotykał się wszędzie z niechęcią w stosunku do Anglji i zagorzałym separatyzmem. Brał mało udziału w rozmowach i wreszcie kazał się zawieźć do hotelu „des Ambassadeurs".

— Czy zastałem księżnę von Dirs? — zapytał portjera.

— Niema jej u nas — odpowiedział zagadnięty.
— Jakto? Przeczytałem w gazecie notatkę, że przybyła do Newportu i że miała tu zajechać.
— Dotychczas nie dała jej wysokość nic znać o sobie.

Grant napisał na kartce papieru adres hotelu, w którym mieszkał i numer apartamentu.

— Proszę to oddać księżnie, gdy przyjedzie — zwrócił się do portjera, który skłonił się służalczo.

Wieczór spędził znów w klubie. Nie zaobserwował żadnego zainteresowania sprawami polityki zagranicznej. Amerykanie zapatrzyli się najwidoczniej tak mocno w swe sprawy czysto narodowościowe, że nic ich już nie interesowało. Owszem interesowali się jeszcze wynikiem światowych zawodów golfa i tennisa i sukcesem sportowców amerykańskich na Rivierze. Nieliczni dyskutowali na temat zaproszenia, przesłanego z konferencji międzynarodowej. Niektórzy wyrażali się z pewnem uznaniem o premjerze angielskim, lecz udział Ameryki w traktacie uważali za rzecz zbyteczną. Stany Zjednoczone były według nich silne i potężne w odosobnieniu, jak skały Gibraltaru. Nic dziwnego, że słabsze narody i nawet silna Anglja chciałaby korzystać z pomocy amerykańskiej.

Takie mniej więcej poglądy wypowiadali dawni znajomi i towarzysze Granta. Nagle jeden z nich ożywił się nadzwyczajnie:

— Grant, czy widziałeś w Monte Carlo naszych genjalnych tenisistów, braci Hoyt?

— Owszem, ale specjalnie nie interesowałem się turniejem — odpowiedział z niesmakiem.

Wrócił stosunkowo dosyć wcześnie do hotelu. Nie było żadnego telefonu od Gertrudy, zastał tylko kartkę od Stenehama.

„Drogi Grant, jak przewidywałem, Pottinger konferował z nami do szóstej. Kazał sobie pokazać artykuł wstępny i podarł go na strzępy. Jesteśmy teraz bezsilni. Trzeba będzie inaczej pracować. Dan".

Grant był bardziej jeszcze zdenerwowany. Usiłował się zdrzemnąć, gdy zbudził go telefon z Washingtonu. Poznał głos sekretarza Brendena, wzywającego go na konferencję. Obiecał, że wyjedzie kurjerem o dziesiątej rano.

Położył się do łóżka znacznie spokojniejszy. Walka się zaczęła.

ROZDZIAŁ XXIV.

Grant przyjęty był w Washingtonie bardzo życzliwie przez jednego z najwpływowszych członków senatu. Wywiązała się między nimi dosyć długa dyskusja, w której Grant szeroko i dobitnie kładł nacisk na konieczność przystąpienia do międzynarodowego traktatu, który ochroniłby Amerykę od możliwej agresji państw, należących już do związku politycznego. Sympatje senatora skłaniały się na stronę Anglji i jej wybitnego premjera, lorda Yeovil, nie mógł jednakże uwierzyć w jakąkolwiek możliwość wojny lub nawet próbę zbrojnego wystąpienia przeciw Stanom Zjednoczonym. Grant opowiedział o swoich obserwacjach, poczynionych w Tokio i Berlinie, powoływał się na przesłane dokumenty, zdobyte kosztem wielkiego trudu, mozołu i pieniędzy. Senator przysłuchiwał się wszystkiemu z wielką uwagą i wreszcie zapewnił swego gościa, że szczerze i gorąco popierać będzie w senacie propozycję lorda Yeovil.

Grant podniósł się z miejsca i chciał się już żegnać, gdy senator położył mu rękę na ramieniu:

— Żona moja prosiła, czy nie zechciałby pan zjeść z nami śniadania. Jak panu może wiadomo, matka jej i pana były serdecznemi przyjaciółkami, a ja sam kolegowałem z wujem pana w Harvard. Znałem również dobrze ojca pana. Mam nadzieję, że pan jest wolny i uczyni zadość naszej prośbie.

— Zostanę bardzo chętnie — zgodził się Grant.

Na śniadaniu było kilka osób. Kilku urzędników senatora, jakiś młody dyplomata, nowoobrany senator i dwie dalekie krewne gospodarza.

Gospodyni domu wzięła Granta pod swoją opiekę.

— Zdaję sobie w tej chwili sprawę, że będę trochę niedelikatna, panie Slattery, ale widzi pan, matka Gertrudy von Dirs była wielką przyjaciółką mojej matki, a my obie miałyśmy kiedyś wiele dla siebie sympatji. Zdaje mi się, że ja pierwsza zauważyłam jej zainteresowanie dla księcia von Dirs i pierwsza to potępiłam. Bardzo lubię ploteczki i czytam zawsze kroniki towarzyskie. Wiem już oczywiście, że spotkał pan ją w Monte Carlo. Czy bardzo się zmieniła?

— Jest tak piękna, jak była — odpowiedział Grant, — lecz, oczywiście, zmieniła się. Dużo bardzo zyskała, ale i wiele straciła.

— Nie może chyba wciąż jeszcze kochać tego małego człowieczka, jakim w rezultacie jest jej mąż.

Grant zamilkł na chwilę. W swojej prostocie i szczerości była gospodyni domu, wbrew swemu przekonaniu, bardzo taktowna. Nie mogła jednakże znać rzeczy, które paliły mu mózg.

(D. c. n.)

MAURYCY DEKOBRA.

Amerykańskie Amazonki

IV.

COLLEGE GIRLS.

Dużo się o nich mówi w Ameryce. Miłe nasze pensjonareczki, które tak skromnie pracują, o wiele mniej podnoszą kurzu od panienek z wielkich szkół amerykańskich. Mowa o nich w czasopismach, w gazetach i w książkach. Zastanawiają się nad ich psychologją. Omawiają ich zainteresowania sportowe. Krytykują porywy uczuć. Wychwalają ich odwagę i pewność siebie.

Panienki nasze — studentki z uniwersytetów francuskich lub pensjonareczki z liceów — czemuż nie zakładacie magazynów, któreby jak *College Humor*, wychodzący w Ameryce, zawierały po kilka stron poświęconych SŁAWIE?... I to jakiej sławie! Nie bez zdziwienia ujrzałybyście w tem wydawnictwie podobiznę Miss le Merle, która zdobyła nagrodę piękności w George Washington University; albo pięknej Miss Ruth Ponnin, piastującej godność pułkownika na uniwersytecie w Kentucky Miss Silvin Hugue, studjującej w college'u Minnesota, która gra na skrzypcach w miejscowej stacji radjowej; Miss Phyllis Clay z uniwersytetu w Missouri, która została mianowana Królową Piechoty (sic!) na ostatnim balu wojskowym... Przykładów takich mogę zacytować bez liku... I na łamach tegoż pisma ujrzeć możecie dysertację na taki temat, jak np. „Golf czy Geometrja?" (nieszczególnie zostaje w nim potraktowany nieszczęsny Euklides, gdyż żałośnie musi zwinąć chorągiewkę, oddając pokłon 18 dziurom placu sportowego).

Jednym z najbardziej aktualnych problematów, interesujących *college girlsy* jest stanowisko, jakie mają zachować względem młodych ludzi.

Amerykanie oddawna hołdują zasadzie koedukacji, która niewątpliwie posiada pewne zalety, ale jednocześnie i wiele ujemnych stron. Powołać się mogę w danym względzie na ciekawe studjum, które przed czterema laty opublikował niejaki M. Rindsey, piastujący godność sędziego w Trybunale dla nieletnich w Denver. Praca ta pod tytułem „Bunt współczesnej młodzieży", wywołała olbrzymią sensację. Mowa w niej o żałosnych konsekwencjach wynikłych ze zbyt szerokiej swobody, jaką pozostawiono młodzieży obojga płci, przyczem autor podaje aż nazbyt wymowną statystykę, którą osobiście miał możność zestawić. Szczegóły tej ankiety kwalifikują się poprostu do rozpatrywania przy drzwiach zamkniętych, przyczem, rzecz charakterystyczna dla urzędowej prohibicji, zło leży nietylko w nadużywaniu swobody we wzajemnem obcowaniu, ale również w pociągu młodzieży do alkoholu.

*

Pewnego wieczora znalazłem się na galowem przyjęciu wydanem na pokładzie „Paris", stojącego chwilowo w porcie. Towarzystwo pragnęło poszczycić się przed elitą New Yorku splendorem, jaki posiada na tym wspaniałym okręcie i zaprosiło conajmniej półtora tysiąca osób. — To też gwarno i rojno było w salonach i na pokładzie i z trudnością można było przecisnąć się przez ciżbę wytwornych gości.

Przyjaciel mój, Edwin, szepnął mi na ucho:

— Mam dziś znakomitą okazję do zapoznania cię z wieloma odmianami typu *college girlsów*. Zauważyłem trzy panienki, z których każda uczęszcza do innej szkoły. Chodź ze mną. Pokażę ci przedewszystkiem jedną z nich, tę z Smith College.

To mówiąc zwrócił moją uwagę na pary tańczące na środku salonu na oświetlonej tafli szklanej.

— O, masz... To ta! Wysoka, brunetka, 19 lat, długa suknia *citron*, czarne rękawiczki... Styl *Bitter Street*.. Zaraz ci opowiem, czem się odróżnia typ z Smith College. Wychowanice tej szkoły należy uważać za najbardziej otrzaskane. Nie uwierzą, gdy im opowiesz bajkę o dziecku rodzącem się pod krzewem różanym. Bokiby sobie zrywały, pokazując bez najmniejszego zażenowania niecenzuralne poematy Byrona. To typ znakomitej towarzyszki życia *in futurum*, kobiety światowej, co włosy zapuszcza nad karkiem i zawiązując w pseudo - koczek (byleby tylko odróżnić się od pani matki, będącej jeszcze w wieku krótkiej czupryny) odsłania uszy, jakby chciała zadokumentować, że wszystkiego może słuchać i wszystko rozumie. Posiada luksusowe futra. Ma własne auto. Wypala chętnie papierosa podczas pauzy, po wykładzie o pragmatyzmie Williama James'a. Ma prawo uczęszczać na randki nie chowając się za parawan.

Ledwo zdążyłem przyjrzeć się pięknej panience, będącej dla mnie symbolem wychowania w *Smith College*, a Edwin ciągnął mnie dalej w stronę *fumoir'u*.

— Chodźmy prędzej... Spostrzegam tam wychowanicę z *Wellesley College*. Patrz... Oto ta blondyna, wysportowana i cała w muskułach. Może zanadto, może czuć ją wsią. Lecz jest to wynikiem wychowania fizycznego — lekkoatletyki, uprawianej na szeroką skalę w Wellesley. Nie jest tak światowa, jak panny ze Smith College, mniej w niej jest stylu Ritza, dziewczyna ta bowiem ponad wszystko przekłada sporty. I takich jak ona jest półtora tysiąca. Wszystkie flirtują zapamiętale z chłopcami z Harvard. Nie wolno im wprawdzie wracać do pensjonatu po godz. 12-ej. A jeśli nadarzy się jej sposobność wyjścia z chłopcem na przedstawienie w Boston, to jednak musi się zameldować o północy przełożonej Wellesley Club w Bostonie i pozostać tam na spoczynek. Te z nich wreszcie, które mają narzeczonych, mogą z nimi wychodzić bez ograniczenia, gdyż każdy z tych młodzianów automatycznie przyjmuje na siebie rolę „chaperon'a".

Edwin zamyślił się przez chwilę, poczem ciągnął dalej:

— Zdajemi się — a nawet jestem pewien — że spostrzegłem jedną z wychowanic Bryn Mawr College. Gdzież ona może być?...

— Panienka ta jest siostrą jednej z moich przyjaciółek z Filadelfji... Widzisz ją?... Jak ci się podoba?...

Uważnie przyjrzałem się panience z Bryn Mawr.

— Sądziłbym, Edwinie, że tym razem mamy do czynienia z chodzącą powagą, która nie lubi się rozpraszać u fryzjera lub u manicurzystki..

— Słusznie to zauważyłeś. Bryn Mawr jest poważnym zakładem. To jedyna szkoła, w której nie mówi się przez nos, gdyż nauczyciel dykcji jest rodowitym anglikiem. Wychowanice Bryn Mawr są daleko skłonniejsze do pracy umysłowej od innych. Lubią obcować z grubemi tomami książek i podręczników. A kiedy wyjdzie ze szkoły, to z pewnością zabierze się do pracy. Nie będzie ani modystką, ani aktorką, ani szefem *Ladies department* w instytucji bankowej. Zostanie natomiast kustoszem w bibljotece, lub profesorem archeologji, lub adwokatem. A wreszcie — w wyniku poważnych studjów, którym się poświęciły — wszystkie hołdują wolnomyślicielstwu.

Podszedłem bliżej do panienki z Bryn Mawr i przysłuchiwałem się jej rozmowie z dwudziestoletnim może młodzianem:

— Wie pan, że w Missouri rozesłano kwestjonarjusz dotyczący zagadnień płciowych. A u was?...

— Nie. A dlaczego?

— Bo chciałam zapytać, co pan sądzi o moim bracie, który tam studjuje. Postawiono mu pytanie: „jak należy postąpić w wypadku, gdy mąż dowiaduje się o wiarołomstwie żony?" A on na to odpowiedział, że „bywa zazwyczaj, iż nie mąż to spostrzega, lecz raczej kochanek"...



(fot. Paramount.)

Sztuki, jakich dziś nikt nie dokona

(Dokończenie.)

W dzisiejszych zmechanizowanych i maszynowych czasach napewno nie znalazłby się nikt na świecie, ktoby pokierował dwudziestką koni, zaprzężonych do wozu, a wiemy, że w starożytności istnieli tacy mistrze. Jeden ze starych fresków amfiteatru antjocheńskiego przedstawia taką właśnie jazdę, ale niestety, jest zbyt uszkodzony, aby można było zrozumieć sekret zaprzęgu. Do ciekawych rezultatów dochodzili starożytni i w tresurze zwierząt: tak naprzykład jeden z faraonów, Ramzes VII-my, życzył sobie, aby małpy z jego menażerji nauczyły się wykonać taniec wojenny w pełnych kostjumach aktorskich, do tego wymaganych. I woli faraona stało się zadość. Ale, gdy już przedstawienie miało się ku końcowi, ktoś z rodziny królewskiej, pragnąc nagrodzić kosmatych aktorów, rzucił na arenę garść orzechów. Małpy natychmiast rzuciły miecze, hełmy i kostjumy, przerwały „występ", łapczywie walcząc o ulubione dla nich smakołyki.

Nigdy chyba nie dojdzie żaden człowiek do takiej wprawy, jak pewien rzymianin, o którym wspomina jeden z ojców Kościoła, Chryzostom. Żarłok ów potrafił na raz skonsumować upieczone prosię, żywą kurę, sto jaj, zająca, wiązkę siana, trochę szkła, miotłę i na zakończenie cztery obrusy ze stołu. Rozumie się, że jego układ trawienny, jak i wielkość żołądka, musiały być nienormalne, co się w mniejszym stopniu dość często zdarza.

Warto jednak na zakończenie przytoczyć sztukę, będącą jednak „kawałem" w dobrym stylu. Żył sobie w 17-tym stuleciu w Anglji pewien przystojny i z dobrego domu młody człowiek, który stał się zmorą i postrachem wszystkich krawców w swem rodzinnem mieście, a później i w stolicy. Był to człowiek - guma, człowiek - wąż. Zjawiał się pewnego pięknego poranku do któregokolwiek krawca i stalował sobie elegancki garnitur. Krawiec zdjął miarę, wziął zadatek i prosił klijenta o zjawienie się, przypuśćmy, za tydzień. Młody dżentelmen przychodził punktualnie, przymierzał uszyte już ubranie i ku zdumieniu krawca okazywało się, że surdut jest stanowczo za wąski w plecach. Zażenowany majster bardzo przepraszał klijenta, poprawiał za dzień, lub dwa, wadę stroju i przy następnej „przymiarce" stwierdzał z przerażeniem, że lewe ramię leży skandalicznie. Za luźne, lub za wypukłe — stanowczo wymaga naprawy. Młody „facet" wyrażał swe niezadowolenie i następnego dnia przychodził znowu. Krawiec już był rad, że nareszcie wszystko będzie w porządku — ale gdzież tam! Okazywało się nagle, że choć klijent nie grymasi i stoi spokojnie, ubranie nie pasuje w talji, albo co gorsza, jest o tyle akurat za szerokie, o ile było przedtem za wąskie. W rezultacie bezbronny i doprowadzony do obłędu krawiec zwracał klijentowi dziesięciokrotnie pobraną zaliczkę, dawał ubranie i wszystko, co miał, byle tylko „gość" więcej się u niego nie zjawiał. „U konkurenta mego — naprzeciwko, będzie pan łaskaw obstalować wszystko. Nie mam nic przeciwko temu" — kończył rozmowę z młodym dżentelmenem. *(S. S.)*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązanie krzyżówki konkursowej z n-ru 9-go:

```
P O G A D A
A R E W E R
C E L I N A
Z G O N ■ B
K O ■ ■ E J
A N T E N A
```

ROZWIĄZANIE KONKURSOWE:
Rekonstrukcja kwadratu magicznego z N-ru 10:

```
K R O W A
R O W E R
O W A L E
W E L O N
A R E N A
```

Rozwiązanie logogryfu konkursowego z N-ru 11-go:

WOLF
ALE
LIMON
ARNO
SAMUM
INNE
EDEN
WIARUS
INIPAP
CIEMNO
ZEFIR
OROT
WIDNO
NAREW
ANDY

= WALASIEWICZÓWNA FENOMEN SPORTOWY.

Rozwiązanie kwadratu magicznego z N-ru 12:

1	11	6	16
8	14	3	9
15	5	12	2
10	4	13	7

Suma liczb we wszystkich kierunkach (pionowym, poziomym i 2-ch ukośnych) stanowi 34. Łatwo jest przekonać się, że kwadrat ten powstał ze złożenia czterech części, na które przecięty został postał podany w zadaniu kwadrat.

Rozwiązanie krzyżówki sylabowej z N-ru 13-go:

			wy			
		po	cie	cha		
	li	ra	■	ta	try	
cha	ber	■	„7 dni"	■	ko	niec
	ja	wa	■	lu	ty	
		ta	tja	na		
			ra			

Rozwiązanie zadania konikowego z N-ru 14-go:
„Odkrycie
nowej planety
i nowej komety."

Rozwiązanie krzyżówki sylabowej (poza konkursem z N-ru 14-go:

ko	ni	czy	na	■
lo	■	ta	ni	na
ry	wa	li	za	cja
ty	ły	■	ny	■

LOSOWANIE NAGRÓD

w konkursie rozwiązań odbyło się w dn. 15 kwietnia b. r. w lokalu redakcji o godz. 6-ej wiecz. Wyniki losowania podane będą w N-rze następnym.

TO, TAMTO I OWO



W słonecznej i wiecznie zielonej Kalifornji, pojęcie wiosna jest raczej tylko zwrotem retorycznym. Dlatego też, w dzień wiosny kalendarzowej, piękne panie sadzą symboliczne drzewko.

TESTAMENT MARSZAŁKA FOCHA.

„Daily Chronicle" podaje do wiadomości, że dobra, pozostałe po marszałku Fochu w Anglji, ocenione zostały na sumę 623 funtów sterlingów i że zgodnie z testamentem Marszałka, wdowa po nim została mianowaną jeneralną spadkobierczynią.

Testament, sporządzony 16 października 1928 roku opiewa, że Marszałek Foch pragnie być pochowanym w miejscu, które wybierze jego żona z zastrzeżeniem jednak, by w przyszłości i ona mogła spocząć obok niego. Sądzi on, że miejscem tem będzie Ploujean.

W testamencie swym, Marszałek Foch, wyraża prośbę, by pozostałe po nim i zaofiarowane mu upominki we Francji lub w sprzymierzonych państwach podzielono pomiędzy jego dawnych towarzyszy broni mianowicie: generała Weygand, pułkownika Destricer, pułkownika Pagezy, Pupier, Boutal. Marszałek prosi również by wybrano kilka jego mundurów i broń i ofiarowano szkole Politechnicznej i Muzeum Broni w Paryżu. Reszta rzeczy, których nie zatrzyma rodzina, ma być oddana jego rodzinnemu miastu. Tarbes celem utworzenia zbiorów na pamiątkę tego, że jeden z synów tego miasta został marszałkiem Francji, Wielkiej Brytanji i Polski.

NAJWIĘKSZA GAZETA ŚWIATA.

Ministerstwo oświecenia publicznego w Meksyku zamierza wydać gazetę niebywałych dotychczas rozmiarów, bo mającą 2 metry szerokości i 3 metry długości. Pismo to, „Le Gazetta", drukowane wielkiemi literami, zawierać będzie artykuły kształcące i będzie rozklejane na murach miast i wiosek meksykańskich. Cel tej gazety, to rozwijanie u ludu zamiłowania do lektury i wpajanie w niego pojęć, stanowiących podstawę dobrobytu

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

S.

SAMOLOT.

Samolot w filmie jest dużo wygodniejszy od samolotu zwykłego. Przedewszystkiem pilot nietylko kieruje maszyną, a jednocześnie może całować bohaterkę, tańczyć z jej przyjaciółką i ratować swego rywala, który zwykle zawieszony na koniuszczku skrzydła czeka tam na śmierć niechybną.

Jeżeli jednak rywal jest pozatem szlachetnym człowiekiem, wówczas nie śmierć przychodzi, a ratunek w postaci prawdziwego spadochronu, który chybkim ruchem rozwija się w ostatniej chwili, lub też w postaci małej parasolki, która tenże spadochron zastępuje.

Jeżeli jednak rywal nie jest szlachetnym człowiekiem, a przeciwnie, reżyser go naznaczył przekleństwem „czarnego charakteru", wówczas nic na świecie już mu nie pomoże.

Spada wtedy w kurczowych podrygach i rozbija się o twardą, bezlitosną ziemię. Bohaterka drży wtedy na całem ciele. Pilot pociesza ją, tuląc do swej męskiej piersi.

Wtedy także zjawia się dobrotliwy stary pastor, którego stałem miejscem zamieszkania jest drugie (bezpieczne) skrzydło samolotu.





(fot. Metro-Goldwyn-Mayer.)

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)
Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.